WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 15 (341) 14 kwietnia 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Krystyna Świerczewska

DOBRO NIEPODWAŻALNE

ZNAMY POWSZECHNIE definicję kultury jako wspólnego dobra całego narodu i szanujemy jej niepodważalność. Jest to pojęcie, z którym zwykliśmy zawsze łączyć wartości pozytywne i piękne. Gromadziły te wartości wieki — wieki je pielęgnowały; poszczególne epoki przydawały zaledwie barwy intensywności niektórym spośród nich i proces ów był zawsze aktem potwierdzenia ponadczasowego ich oddziaływania.

W kontekście tysiąca lat kultury polskiej wydawać by się mogło, że niewiele znaczą ostatnie dwa dziesiątki lat jej dziejów, ale byłby to pozór tylko, mechaniczne przesunięcie punktu ciężkości z jakości na ilość. A jakość współczesnej kultury polskiej to jej wielkość właśnie. Jakość — to przede wszystkim wszechstronność, rozpiętość form, prawo do artystycznego eksperymentu. Jakość — to socjalistyczna treść współczesnej kultury; to negacja pustej formuły sztuki dla sztuki; to nasycenie artystycznych poszukiwań ideowością. I wreszcie jakość — to upowszechnienie: nadzwyczajne, niespotykane w dziejach tysiącletnich — m a s o w e.

W ten czas nadzwyczajnego upowszechniania i swobodnego tworzenia pada nagle termin „zagrożenia kultury". Co jej zagraża? Czy wielkie teatry i filharmonie, mieszczące tysięczną widownię, a otwierane z częstotliwością nieznaną polskiemu odbiorcy? Czy wielotysięczne nakłady arcydzieł literatury światowej i polskiej?

Mam świeżo w pamięci gorzki felieton autora „Biblioteki Boya" — jedynej witryny księgarskiej, która w okresie międzywojennym usiłowała stworzyć precedens wydawnictwa konsekwentnie pielęgnującego kulturę czytelnika, gdzie Boy pisze, że władował w nią oszczędności całego życia, całą energię, cały spryt — a w zamian zebrał oszczercze insynuacje reakcyjnej prasy i niewiele ponad setkę abonentów... I kiedy patrzę na kilkudziesięciotomową edycję Boya w twardych okładkach, na pięknym papierze, a obok stoją te broszurowane tomiki przedwojenne wydane nakładem autora, zdekompletowane, biedniutkie, poszarpane przez czas — żal się we mnie rodzi, że wielki pisarz-społecznik nie doczekał się urzeczywistnienia wizji „Biblioteki Boya", którą zrealizowało wydawnictwo Polski Ludowej.

A sprawa wydawców, nakładów, honorariów, umów wydawniczych? Ileż zdumienia budzi w co młodszych wspomnienie jednego z najpoważniejszych wydawców — Jana Gebethnera zamieszczone w tomie wspomnień o Zofii Nałkowskiej, który z rozbrajającą szczerością wyznaje: *„w latach, kiedy wydawałem dzieła Nałkowskiej nakłady wynosiły 3—5 tysięcy egzemplarzy i normalnie obliczano rozchodzenie się książki na trzy lata. Sprzedanie nakładu w ciągu jednego roku było dużym sukcesem... Gdy wojna się skończyła, Nałkowską porwał nam Borejsza do „Czytelnika"... Nakłady utworów pani Zofii zaczęto drukować nie w tysiącach, lecz w dziesiątkach tysięcy; rozchodziły się one momentalnie... Muszę się przyznać, iż zazdrościłem „Czytelnikowi" możności montowania takiej produkcji wydawniczej".*

Tyle stary wydawca.

A wystarczy sięgnąć po książkę Magdaleny Samozwaniec „Maria i Magdalena", by przypomnieć inną postać literatury tego czasu — Jasnorzewską-Pawlikowską, by poznać jej sposoby na wydarcie paruset złotych od wydawcy; wystarczy poczytać całą przebogatą z okresu międzywojennego literaturę wspomnieniową, by sprawa honorariów, wydań, stypendiów, wyjazdów za granicę — tego wszystkiego, od czego zupełnie młodzi adepci literatury zaczynają nader często dziś swoje literackie kariery, by sprawa ta per analogiam wywoływała protest obiektywnego czytelnika, który zna autorów polskich osiągających dziś 100-tysięczne nakłady swych dzieł, który zna liczbę około 2 tysięcy stypendiów w jednym tylko roku ubiegłym przyznanych twórcom przez Ministerstwo Kultury, który zna wreszcie atmosferę uznania, towarzyszącą pracy plastyka, literata czy muzyka.

Że Mickiewicz zabłądził pod strzechy — pisało się nader często i właściwie nie bardzo byłby sens przypominać zrealizowane pragnienie poety, gdyby nie zbyt częste także nierozumienie początków tego „zabłądzenia" — owego pytajnego członu bezspornego faktu — d l a c z e g o zabłądził? Dlaczego zabłądzili inni wielcy klasycy, dlaczego w małym Lubaczowie teatr gra przy nabitej sali Czechowa, dlaczego na koncert organowy w nie największym przecie Leżajsku ściągają tłumy, dlaczego 12 lat temu wzbudzała protesty wystawa plastyczna w Jarosławiu — a dziś ten sam Jarosław nie może doczekać się otwarcia w odbudowanej synagodze sali wystawowej i pracowni dla grupy plastycznej „Jarosław", dlaczego w Dniach Pogórza Dynowskiego ludzie znosili eksponaty kultury do Izby Pamiątek i czynią to w setkach najmniejszych miejscowości nawet?

Te wszystkie „dlaczego" znajdują swoją eksplikację właśnie w ostatnich dwóch dziesiątkach lat upowszechniania kultury — za państwowe złotówki oraz za cenę społecznego czasu, społecznego wysiłku. Te „dlaczego" znajdują także eksplikację w fakcie, że u podstaw upowszechniania kultury legła o ś w i a t a. I to co zrobiliśmy tuż po wojnie z oświatą pod rękę, że bodaj wspomnę likwidację analfabetyzmu — eliminuje nasze placet na histerię, jaką usiłuje się rozpętać wokół ukutego przez literackich reprezentantów tej histerii terminu o zagrożeniu kultury.

Książka stała się chlebem naszym powszednim. Telewizja stała się chlebem naszym powszednim. Dzięki telewizji — i teatr, i film, i rozrywka, stają się chlebem naszym powszednim. I dlatego warto dziś mówić o dobrej książce, dobrej produkcji filmowej oraz dobrej telewizji, trzeba pamiętać o ideo-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wiosna – śmigus - pisanki

Ma 71 lat i zawsze z jednakową radością wita wiosenne słońce, w którym z przymkniętymi oczami wygrzewa się. Słucha śpiewu skowronka i wspomina ... wiosnę swego życia.

Honorata Bugaj z Łysakowa, w powiecie mieleckim, mówi, że gdy była młoda, bardzo lubiła wiosenne porządkowanie w zagrodzie i w domu. Mycie okien i bielenie. Przedświąteczną krzątaninę kończyło wypiekanie ciasta i innych smakołyków. A gdy spiżarnia wypełniła się po brzegi nadchodził czas odpoczynku i zabawy.

Najwięcej uciechy, wrzawy i pisków było we wsi w oblewany poniedziałek. Pamięta, że już wczesnym rankiem gromada chłopaków czyhała za węgłami domów, drzewami na dziewczęta, które oblewano wodą z wiader, kubłów, garnków i skopków. Bardziej przemyślni robili wielkie sikawki z drewna, z których oblewali wybranki w najmniej oczekiwanych chwilach. Bywało i tak, że niektóre dziewczyny zanurzali w pobliskiej rzeczce. Ale często dostało się i chłopakom. Dziewczęta też wody nie żałowały.

Oblewanie trwało prawie cały dzień. Po zimnych i często gwałtownych prysznicach, połączonych nieraz z płaczem i narzekaniem nad przemokniętymi kieckami następowały emocje z przebieraniem się. Dziewczęta zamykały się w izbach, a chłopcy podpatrując przez dziurkę od klucza lub słabo zasłonięte okna podgadywali co która nosi, no i w ogóle... Najczęściej nie zobaczyli nic, a gadali, że hej.

Dzisiaj jest inaczej. Wprawdzie młodzi i nieco starsi oblewają się, ale tak po nowemu. Częściej wyleją z małej flaszeczki kilka kropelek pachnącej wody lub z przemyślnego balonika sikną niespodziewanie za kołnierz niż złapią za wiadro, dzbanek czy sikawkę. Nie ma już jednak tej wielkiej uciechy i wiosennej zbiorowej zabawy w oblewanie. Inny już czas...

Wspomnienia Franciszki Mazur z Kramarzówki, w pow. jarosławskim, są podobne. W tych okolicach również w modzie było solidne śmigusowe oblewanie. Często jednak dla wytchnienia młodzi brali się za ręce, szli przez wieś i śpiewali piosenki o wiośnie.

Piękny był także inny zwyczaj. Otóż dziewczęta ślicznymi pisankami, wymalowanymi przez siebie w kwiaty, sosenki i zajączki obdarowywały swoich naj... naj... naj... Każda oczywiście dokładała starań, żeby jej pisanki zawiązane w chusteczke najlepiej się prezentowały. Dziewczęta z Kramarzówki słynęły na całą okolicę z dobrego gustu. Dziś nawet rzadko

(Ciąg dalszy na str. 2)

Fot. CAF

Wiosna — śmigus — pisanki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

się o tym mówi, panny myślą po nowemu.

W Bystrowicach w tym samym powiecie wielką popularnością cieszyła się zorganizowana w ubiegłym roku wystawa pisanek. Zebrano ich ponad 100 sztuk. Kierownik biblioteki wiejskiej i klubu „Ruch" wspomina, że pisankową ekspozycję oglądało wiele osób, które podziwiały kunsztownie wykonane, niezwykle kolorowe jajka. Aż trudno było uwierzyć, że wyszły z „pracowni" miejscowych ludzi, rozmiłowanych w swoistym rodzaju sztuki ludowej.

W każdej niemal wiosce na Rzeszowszczyźnie spotkać można starszych mieszkańców będących żywymi kronikami różnych zwyczajów i obrzędów, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie, lecz z każdym rokiem jakoś słabiej i w skromniejszym zasięgu. A przecież śmigus, zwany także dyngusem, to jeden z najstarszych zwyczajów zachowanych w Polsce. Polewanie się wodą miało niegdyś charakter obrzędowy, związany z wierzeniami w oczyszczającą moc wody wiosennej. Później zmienił swój pierwotny sens i utrzymał się jako rozrywka.

Dyngus znaczył również datek, składany w naturze w postaci jaj, wędlin i pieczywa gromadkom chłopców „chodzącym po dyngusie". Wygłaszali oni przy tym różne oracje lub wierszowane życzenia składane gospodarzom. Oto przykład:

„Przyszliśmy tu po dyngusie
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Panience, świętym Piotrze
O Judaszu i o łotrze.
A gosposia skrzętna, szczera,
Da nam wódki, chleba, sera".

Albo znowu śpiewano: „Do izby nas puśćcie, bo my po śmiguście". Następnie jeden z chłopców krzyczał — „Śmigust"! I wówczas następowało oblewanie. Szczególnie było ono obfite w domach niegościnnych gospodarzy, którzy dali skromny datek.

Składane odwiedziny często przeradzały się w rozhukaną swawolę. Widocznie zabawy musiały w poważnym stopniu przekraczać granicę przyzwoitości, skoro „dyngowanie" spotkało się w pierwszych latach XIV wieku z potępieniem synodu poznańskiego. Ta surowość jednak nie potrafiła powstrzymać umiłowanych zabaw.

Niektórzy zaś badacze folkloru wyjaśniają, że oblewanie wodą jest elementem dawnych świąt agrarnych, mającym na celu zapewnienie plonom dostatecznej ilości deszczu. Z tego samego źródła wywodzi się obchód gaika, czy maika — to jest obnoszenia ze śpiewem ustrojonej w świecidełka gałęzi (Wielkopolska, Śląsk), lub obwożenia na specjalnym wózku żywego koguta (wsie nad Pilicą), co ma symbolizować nadejście wiosny i zapewnić dobre urodzaje. Gdzie indziej znowu odbywa się topienie tzw. Marzanny.

Natomiast na wzgórzu na Krzemionkach pod Krakowem, we wtorek po Wielkanocy, krakowianie zakupywali na straganach ustawionych przed kościółkiem gotowane jajka, tzw. szewskie placki, obarzanki, pierniki, jabłka itp. i rzucali je następnie w tłum ubogich. Zwyczaj ten, zwany Rękawką zanikł dopiero w ostatnim dziesięcioleciu XIX w., przekształcając się w festyn ludowy.

Święcenie Rękawki wiąże się nie jak wyjaśniają tamtejsi mieszkańcy z noszeniem w rękawach oraz cholewach ziemi, z której usypano w pobliżu wspomnianego wzgórza kopiec Krakusa i jakoby zwyczaj ten łączył się legendą o Kraku, lecz z obchodzonym na terenie całej Słowiańszczyzny świętem wiosny. Np. w Pradze Czeskiej gromadzono się w drugi dzień Wielkanocy przy pogańskich grobach, gdzie tłuczono jajka i ciskano nimi o ziemię. Wierzono bowiem, że wraz z przesileniem zimy, zmarli krewni domagają się od pozostałych na ziemi wspomnienia oraz zasiłku. Zebrani śpiewali przy tym specjalne pieśni, tzw. mogiłki. Stąd wniosek, że początkowo Słowianie obchodzili w porze wiosennej święto zmarłych, które dopiero w późniejszych wiekach przeniesiono na chrześcijańską Paschę.!

W obrzędach ludowych poczesne miejsce zajmuje również jajko. Od najdawniejszych czasów dominowało w wierzeniach. W starożytności malowane w połowie na czarno symbolizowało: życie i śmierć, dzień i noc, teraźniejszość i przeszłość. „Miało" cudowne niemal właściwości. Uważano, że „zabiera" niemoc, choroby, nieszczęścia i zło. Zawieszone u sufitu sporupy jajka miały chronić dom oraz jego mieszkańców przed nieczystymi siłami, urokami, mocami czarownic. Dawało mądrość, a nawet jak sądzono, pomagało w zdobyciu bogactwa.

Na podstawie wykopalisk uważa się, że najstarsze okazy jajek — pisanek pochodzą z V—VI wieku n. e. Sztuka p i s a n i a jajek znana była niemal powszechnie. Przypuszcza się, że w tym samym okresie także Słowianie zaczęli robić pisanki, co oczywiście czynią nadal, lecz w coraz mniejszym zakresie. Obecnie rzadko pięknie malowane pisanki zdobią świąteczne stoły.

Natomiast w bogatym zestawie potraw zawsze muszą znaleźć się jajka gotowane na twardo. Ale zarówno tamte kolorowe, jak i te bieluśkie są szczątkową formą dawnych wierzeń i praktyk pogańskich. Podobnie śmigus-dyngus oraz inne zwyczaje, które w mniejszym lub większym stopniu znajdują odbicie w obrzędach ludowych. Nie są one jednak jak dawniej celebrowane. Pod naporem szybko zachodzących przemian społecznych, osiągnięć, zanikają. Ślad po nich pozostaje jedynie w spisanych wspomnieniach, nagraniach radiowych i w kronikach filmowych. Coraz więcej przybywa zwolenników witania wiosny przy... telewizorze.

A. P.

Adam Potasz

DYMEK Z FAJECZKI

„Skręta" czy Górskiego"? Dziękuję. Wolę fajkę. Coś ty... Chcesz powiedzieć, że wyszła z mody. Łatwiej wyciągnąć ze zmiętej, pokręconej paczki papierosa niż dopełnić ceremoniału zapalenia fajki. Żyjemy w czasach pośpiechu. Ale przecież nie tak znowu odległe są lata, w których nieomal każdy mężczyzna pragnął się upodobnić do pana z fajką — Sherlocka Holmesa lub kapitana Fracasse.

Cóż, sic transit gloria... fajki. Złośliwcze, a właśnie, że nie przemija jej sława. Jak to udowodnię? Mam pomysł. Ty zapal swego „giewonta", ja zaś zaczarowaną fajkę. Za sprawą błękitnego, o aromatycznym zapachu dymku przeniesiemy się w świąteczne popołudnie, do jarosławskiego Muzeum, gdzie pewna Pani zapozna nas z niezwykłą wystawą i opowie jeszcze bardziej niezwykłą historię.

Najpierw był tytoń. Jego nasiona przysłał królowi hiszpańskiemu Krzysztof Kolumb. Żołnierze zaś hiszpańscy widząc Indian palących „fajki pokoju" poczęli ich naśladować i zwyczaj ten przywieźli ze sobą do Europy. Z właściwościami tytoniu szybko zapoznali się Francuzi. Początkowo proszek tytoniowy brano do nosa, a dopiero później zaczęto palić fajki, które szczególnie rozpowszechniły się wśród żołnierzy, marynarzy i chłopów. Rząd francuski bardzo chętnie przydzielał żołnierzom tytoń, fajki i krzesiwa. Uważano bowiem, że tytoń może zastąpić chleb, gdyż odbiera... apetyt.

Do Anglii tytoń sprowadził John Hawkins, a fajkę — Rawlegh. W Polsce zaś zwyczaj palenia fajki nie przyjął się z Zachodu, lecz z Turcji. Dlatego też takie słowa, jak tytoń, lulka, cybuch, kapciuch, pochodzą z języka tureckiego: tutuń, lufe, czybuk, kapczuk. Samo zaś słowo — fajka przyjęło się z języka niemieckiego — pfeife. W Polsce namiętnym palaczem był król Jan III Sobieski, który lubił po obiedzie wypalić fajkę.

Palenie szybko rozpowszechniło się. Miało ono jednak i przeciwników. Król Jakub I widząc, że tytoń ma w Anglii coraz więcej zwolenników wydał rozkaz wieszania palaczy. Ponieważ zamknięto wielką ilość ludności, przeto dla przykładu skazał na szubienicę jedynie Rawlegh'a, który zdaniem króla przyczynił się walnie do przyjęcia w kraju tego k a r y g o d n e g o zwyczaju.

Królowa Elżbieta zakazała zażywać tabakę podczas nabożeństw. Papież Urban VIII groził palaczom ekskomuniką. Car rosyjski Michał Fedorowicz, po pożarze, który strawił połowę stolicy, a spowodowanym przez nieostrożnego palacza, kazał chłostać złapanych palaczy, zaś opornych karał śmiercią. Najokrutniej postępował ze swymi poddanymi Abbas I, siódmy szach Persji, który palaczom kazał ucinać wargi, a zażywającym tabakę — nosy.

Mimo tych wszystkich represji, tak tytoniu, jak i jego entuzjastów było coraz więcej. Fajka i tytoń uzyskały w życiu człowieka poczesne miejsce. Dwór jednak hołdował tabace, a ogół społeczeństwa palił fajkę. Napoleon w dowód uznania obdarzał generałów orderami i... tabakierkami ze swoim monogramem lub miniaturą. Podobnie czynił król Stanisław August Poniatowski.

Za jego to czasów poeta — amator fajki napisał w „Monitorze": „Słodka rozrywko w cichym pokoiku, kochana fajko, tlący się piecyku". W dobie romantyzmu palenie fajki było stylem życia, należało do dobrego tonu. We Francji, a także w innych krajach palacze zbierali się w specjalnie przeznaczonych do tego celu pomieszczeniach, tak zwanych palarniach, urządzonych nieraz w stylu wschodnim. Były tam oryginalne meble, jak kanapy, których poręcze stanowiły zamknięte pudła na tytoń, fajki, cygara i zapałki. Obok kanap znajdowały się krzesła, na których można było siedzieć jak na koniu, z łokciami wspartymi na oparciu utworzonym z długiego pudła na przybory do palenia.

Tytoń w fajce zapalano skręconym w rulonik papierem, tzw. fidybusem, struganymi z bardzo suchego drewna patyczkami i wreszcie zapałkami zwanymi niegdyś „siarnikami". Patyczki i fidybusy umieszczano w specjalnym lichtarzu zaopatrzonym w płytkę z otworami, z których je każdy brał, przytykał do płonącej świecy i zapalał fajkę.

Fajki zaczęto wyrabiać jeszcze w XVI wieku. Przemysł fajczarski rozwijał się głównie w Anglii, Holandii i we Francji, gdzie produkowano masowo gliniane fajeczki koloru białego lub barwione, a nawet zdobione głowami ludzi, albo zwierząt. W Saksonii robiono fajki porcelanowe, polewane lśniącą emalią. Były też z tzw. „pianki morskiej" oraz z drewna. Te ostatnie były bardzo wygodne, gdyż nie tłukły się i oznaczały lekkością. Do ich wyrobu używano bukszpanu, gruszki, palisandra i korzenia wrzosowego, który uchodził za najlepszy materiał.

Słynęła z produkcji fajek i Warszawa. W rejonie tzw. Bramy Pobocznej, niedaleko ulicy Wąski Dunaj, wykopano dawne piece garncarskie, a przy nich garnki, kafle i fajki. Z innych ośrodków, znanych z wyrobów fajek wymienić warto: Gdańsk, Staszów, Tykocin, Nisko, Sanok i Jarosław. Tutaj właśnie w czasie prowadzonych obecnie badań archeologicznych znaleziono około 250 różnych fajek.

Nie wszystkie — niestety, nadawały się do wyłożenia w gablotach wystawowych. Wydatnej pomocy w zorganizowaniu ekspozycji udzieliły muzea z Warszawy, Krakowa, Rzeszowa i Łańcuta, przesyłając najcudowniejsze fajeczki z gliny, pianki, porcelany, drewna, bursztynu, rogu, długie i krótkie, wyrabiane w Polsce i za granicą. Niektóre odznaczają się wyjątkową ozdobnością, są dekorowane rzeźbionymi sękami, a nawet inkrustowane.

Jedną w darze dla Muzeum przysłał sławny chirurg prof. Adam Gruca, pochodzący z okolic Jarosławia, który w tym mieście uczęszczał do gimnazjum. Drewniana fajeczka prezentuje się okazale. Profesor w wolnych chwilach zamienia lancet na... rylec i robi fajki oparte na motywach ludowych. To jego hobby.

Ale tradycje fajkowego przemysłu są kontynuowane na szerszą skalę. Otóż Spółdzielnia Rzemieślnicza w Przemyślu wyrabia drewniane fajki, które cieszą się wielkim powodzeniem w kraju, a zwłaszcza za granicą. Okazuje się, że entuzjastów fajek nie brakuje. Jest wiele ludzi, którzy mają czas na ceremoniał związany z paleniem fajki. Robią to w nastroju, ze smakiem i niebywałym pietyzmem.

Co, chcesz i ty? Twierdzisz, że poruszyła cię opowieść i pragniesz rzucić papierosy? Pytasz tylko, gdzie można dostać taką, jak moja c z a r o d z i e j s k ą fajkę? Chciałbyś w czasie jej palenia, za sprawą błękitnych obłoczków dymu, słuchać podobnych, ciekawych historii, żeby choć na chwilę zapomnieć o codziennych kłopotach. Pragniesz — jak mówią niektórzy — przy fajce wyłączyć się. Hmm, trudna sprawa. Ale zapytaj o to przewodniczki, a zarazem organizatorki tej wystawy, mgr JANINY OLSZEWSKIEJ. Ona o fajkach wie wszystko. Ja tylko spisałem jej słowa.

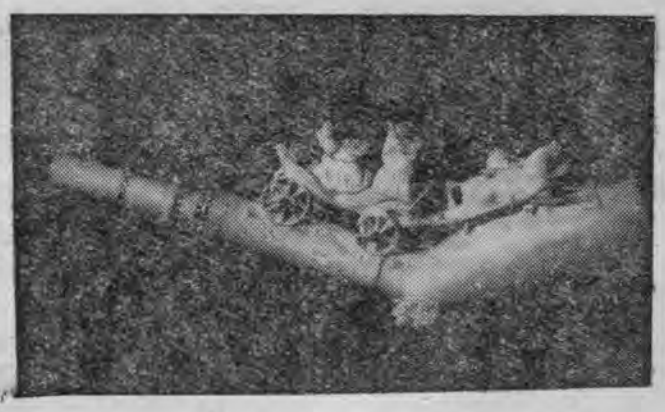

Dobro niepodważalne

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wych treściach przez nie głoszonych, o artystycznej ich doskonałości, kształtowanej wszak przez twórców kultury. I warto czuwać nad tym, by miliony polskich złotych nie rozpraszały się w prywatnych a szkodliwych upodobaniach, nie znajdowały ujścia w nieczystych kanałach łączących syjonizm i międzynarodowe wstecznictwo, usiłujące szermować atutami polskiego motłochu i ciemnoty. Ma się ochotę znowu zapytać: czy dlatego, że trzy czwarte polskiej inteligencji wywodzi się w pierwszym pokoleniu z robotników i chłopów? Czy i dlatego, że połowa studiującej młodzieży pochodzi z tych dwu środowisk? Są to argumenty tak przejrzyste w swojej wymowie, że wystarczy je tylko poddać pod rozwagę. Są one równie zresztą przejrzyste jak druga strona medalu czyli ujawnione ostatnio praktyki niektórych filmowców, ujawnione losy niektórych książek, obrzydliwych w napastliwym fałszowaniu historii, eksplodujących przy tym w naszej świadomości protestem i ewokujących prawo do wyciągania wszelkich konsekwencji. Protestem przeciw ciemnym machinacjom, przeciw próbom rozbicia integracji zjawisk kulturowych, wynikających z sensownych 23 lat upowszechniania, z mariażu oświaty i kultury — tej kultury, bez której nie ma pełnego człowieka.

K. ŚWIERCZEWSKA

Jan Grygiel

DWA OBLICZA

W wielkiej kampanii atakującej systematycznie i perfidnie Polskę i Polaków nie zabrakło, niestety, pisarzy noszących polskie nazwiska i piszących w języku polskim. Żyli tu z nami, wydawali w dużych nakładach swoje książki, cieszyli się szacunkiem i estymą społeczeństwa, które w Polsce zawsze wysoko ceni pisarzy jako sumienie narodu. A później przy pierwszej sprzyjającej okazji wyjeżdżali na Zachód i tam dawali w radiu, w prasie, w telewizji, przed mikrofonami „Wolnej Europy" i radia Madryt — „świadectwo nowej prawdzie", całkowicie odmiennej od tej, którą głosili w swej twórczości w kraju, zamieniali się w paszkwilantów zaciekle atakujących nasz naród. Czynili to ludzie z tzw. poważnymi nazwiskami, o dużym dorobku twórczym. Przypomnę tu m. in. nazwiska Andrzeja Stawara, Aleksandra Wata, Leopolda Tyrmanda, ostatnio — Henryka Grynberga i Stanisława Wygodzkiego.

O Grynbergu i Wygodzkim czytaliśmy ostatnio sporo w naszej prasie. Włączyli się oni aktywnie do paszkwilanckiej nagonki kół syjonistycznych na Polskę. Henryk Grynberg, aktor i pisarz pochodzenia żydowskiego, który ukończył w Polsce Ludowej studia, zdobył popłatny i piękny zawód, wydawał bez przeszkód swoje książki i publikował opowiadania, opuścił kraj i złożył oświadczenie, iż dlatego wyjechał na Zachód, gdyż czuł się w Warszawie jako Żyd obywatelem drugiej kategorii. Oskarżył naród polski o nacjonalizm i antysemityzm, o dyskryminowanie obywateli żydowskiego pochodzenia. Ten obywatel drugiej kategorii studiował na jednym z najbardziej elitarnych kierunków studiów — wiadomo przecież, jak trudno u nas dostać się do szkoły aktorskiej — należał do elity młodych snobów artystycznych stolicy i wyjechał od nas własnym samochodem kupionym za wysokie honoraria. Dziś obwozi nim po Ameryce swoją „krzywdę". Tenże Henryk Grynberg w swojej książce „Wojna żydowska" wydanej w Polsce traktuje Polaków, jako naród szmalcowników współdziałających w okresie okupacji z hitlerowcami w mordowaniu Żydów. W opowiadaniu „Hamlet" opublikowanym w książce „Polskie opowiadania 1960—1963" wydanej w 1965 roku Grynberg ukazuje postać młodego człowieka, który po dwudziestu latach przyjeżdża do zapadłej wsi szukać prochów swojego, zabitego w czasie okupacji, ojca. Czytelnik dowiaduje się, iż ojciec Lukima, bo tak nazywa się bohater opowiadania, ukrywający się przed hitlerowcami, Żyd Abram został skrytobójczo w nocy zamordowany. Czy przez okupantów? O nie — pisarz sugeruje, iż zabił go któryś z chłopów polskich w celach rabunkowych. Ze zdumieniem czytamy taki fragment dialogu: „To tutaj na niego ktoś czekał tamtej nocy, gdy wracał ze dworu — powiedział Lukim. — Skąd wiesz, a może dopiero potem go przywieziono? — Kto by tam ciągnął go tak daleko? Żyda? Przecież kto chciał miał prawo go zabić! — Mógł się krępować. Po co wszyscy mieli by wiedzieć? Rzeczywiście, masz rację, to mogło być krępujące. — Po co ojciec tutaj przychodził? — Po pomoc przychodził, rozumiesz, **po pomoc**. Niestety, także i po pieniądze, które u niektórych zostawił"... Takie opowiadania i książki drukowano w Polsce Henrykowi Grynbergowi. I on teraz ośmiela się mówić o antysemityzmie, o obywatelach drugiej klasy.

Jeszcze więcej zdumienia i oburzenia wywołała w społeczeństwie postawa Stanisława Wygodzkiego. Ten pisarz noszony u nas prawie na rękach, wyjechał do Izraela i również bierze udział w oszczerczej kampanii przeciwko naszemu narodowi. Zarażony syjonistycznym fanatyzmem pomawia nas o antysemityzm i stawia naszemu społeczeństwu warunki swojego powrotu. Nie doczekaliśmy się od pisarza, który w całym szeregu swoich opowiadań ukazywał solidarność wielu Polaków z ginącymi w czasie okupacji Żydami, ani jednego słowa protestu przeciwko paszkwilom kół syjonistycznych oskarżających Polaków o współudział w zbrodniach hitlerowskich. Nie doczekaliśmy się tego od człowieka odznaczonego jednym z najwyższych odznaczeń państwowych, którego jubileusz obchodziło się tak szumnie i uroczyście. Czy nie mógłby ogłosić w Izraelu np. opowiadania pt. „Koncert życzeń", które opublikował w Polsce w zbiorze pod tym samym tytułem w roku 1960? Mówi ono o losach mleczarza Hersza Pynchesa, który przez 20 miesięcy ukrywał się w okresie okupacji w piecu kaflowym. Ukazuje ono, jak zaszczutemu i ściganemu przez żandarmerię niemiecką Żydowi udzielali pomocy z narażeniem własnego życia Polacy — przyjaciel mleczarza, Franciszek, kobieta, właścicielka mieszkania, w którym ukrywał się Hersz, ksiądz wikary Czyński i inżynier Waszkiewicz. Dzięki nim mleczarz Pynches dożył wolności. Dlaczego Stanisław Wygodzki zapomniał już o tym np. fragmencie swojego opowiadania: „Już minąłem dom pierwszy, drugi, trzeci, ale boję się wejść, może nie przyjmą? A wszędzie sami znajomi, same znajome ludzie. I nagle słyszę głos: — Heniek, gdzie lecisz?

Przystanąłem. Dopiero teraz zauważyłem przyjaciela, stojącego przed domem. Ledwo oddychałem.

— Wejdź — powiedział Franciszek.

— Nie mogę.

— Wejdź powiadam.

— Zaraz będzie obława.

— Wejdź.

W sionce powiedziałem mu: — nie mam żadnych szans. Wiewiórka, pies, kot ma szanse, ma prawo przeżyć, ja nie.

— Zobaczymy.

Siedziałem u niego dwa dni, dłużej nie mogłem... Domek był parterowy, stał przy samej szosie — opatrzyli mi rany, umyli".

Gdy Hersz Pynches spotyka się po wojnie z człowiekiem, który miał odwagę publicznie z ambony w czasie okupacji potępić morderców narodu żydowskiego — z księdzem Czyńskim, obydwaj się rozpłakali i ucałowali. Ksiądz zapytał... „Mnie w więzieniu pytali, czy pana znam, czy pomagałem panu Pynchesowi. A ja powiedziałem, że nie znam takiego człowieka. Dziwili się bardzo. Jakże to? Hersz Pynches sam zeznał, że pan mu pomagał. Wtedy ja mówię do księdza: — A czy ksiądz wiedział, że ratuje człowieka, który go kiedyś uratuje?

Skąd miałem wiedzieć o tym odparł ksiądz. — Nie pomogałem dla nagrody. Pomagałem, bo tak nakazywało mi sumienie... Cieszę się, że Pan przeżył".

Jakież to przykre, jakież żenujące zjawisko. Pisarz wyrzeka się swoich utworów, przekreśla to co kiedyś w nich napisał, bo są mu dziś niewygodne, bo przeczą w sposób oczywisty oszczerstwom syjonistycznej nagonki na naród polski. Nieoczekiwanie ukazało się drugie oblicze tego człowieka. Oblicze człowieka zarażonego nacjonalizmem i wroga naszego narodu. Tym większe jest nasze zdumienie, iż jak wiemy, jest w Izraelu wielu ludzi, którzy demaskują fałsze i oszczerstwa rzucane na Polaków, stwierdzają, iż Polacy z narażeniem własnego życia pomagali Żydom w okresie wojny. Ostatnio wystąpił z protestem przeciw tej nagonce w parlamencie izraelskim deputowany, komunista Wilner.

Uważający się za komunistę Wygodzki mówi co innego — solidaryzuje się z grupą paszkwilantów krzyczących o polskim antysemityźmie.

Czy może dowodem na rzekomo istniejący w Polsce antysemityzm miały być bardzo wysokie dochody Stanisława Wygodzkiego z bieżących jego publikacji w prasie, z licznych i ciągle wznawianych w dużych nakładach książek, w pracy na kilku etatach w różnych instytucjach?

Nie! Mimo tych godnych ubolewania objawów dwulicowości niektórych pisarzy nie stracimy zaufania do naszej literatury. Ale trzeba po imieniu mówić o tych, którzy godzą w jej dobrą sławę, którzy obniżają jej autorytet i powagę w społeczeństwie. Jeśli ma ona być sumieniem narodu, trzeba sobie uświadomić kto do tych wysokich wymagań nie dorósł.

Ręce znanych pianistów

Sylwetka drobnego pana z siwą czupryną, której srebrzystość zazwyczaj podkreśla jeszcze popielate ubranie — znana jest rzeszowskim melomanom. Gdy on się zjawia w sali koncertowej to pewne, że program obejmuje solowe „wystąpienie" fortepianu lub któregoś z instrumentów strunowych klawiszowych. Inżynier Witold Nowotarski od z górą lat dwudziestu zajmuje się korektą fortepianów, ale dziś nie o tym będzie mowa. Pisałam szerzej o tej ciekawej specjalności w czasie ostatniego Festiwalu Chopinowskiego. Przypomnę tylko, że instrumenty podobnie jak ludzie mają różne fanaberie, artyści natomiast liczne przyzwyczajenia. Ambicją każdego korektora jest takie przygotowanie instrumentu do koncertu, aby artysta mógł wyzwolić cały swój kunszt i pokazać wykonywane dzieło muzyczne w pełnym blasku.

Znana już jest nadwrażliwość klawesynu rzeszowskiej filharmonii, który ma swą stałą „siedzibę" w zamku łańcuckim, gdyż głównie tam urządza się recitale bądź koncerty z udziałem tego instrumentu. Jego mimozowatość polega m. in. na nietolerancji wahań temperatury. Idealnie nastrojony potrafi zmienić brzmienie nie tylko przez zmianę temperatury spowodowaną otwarciem okna, lecz również nagrzaniem sali przez słuchaczy. Ale jak piękny jest to instrument mogliśmy się przekonać w czasie recitalu klawesynistki francuskiej Aimée van de Wiele. I ona nie miała dość słów uznania dla bajecznego dźwięku i możliwości wykonawczych klawesynu, który potrafi — jak się okazało — gotować i przyjemne niespodzianki.

Artysta i korektor fortepianu przed koncertem zwykle zawierają sojusz w imię prawdziwej sztuki. I właśnie w czasie takiego temperowania fortepianu pan Witold Nowotarski zwrócił uwagę na ręce pianistki — Lidii Grychtołówny. Zafascynowały go. Zdumiewała siła brzmienia i blask wydobywany z instrumentu maluteńkimi dłońmi. Ta dysproporcja między klawiaturą, ręką i dźwiękiem zupełnie odurzała! Było to przed jakimiś dziesięciu laty! Ówczesne zaskoczenie wspomnianym zjawiskiem pozostało tak silnie w pamięci, że z biegiem czasu przekształciło się w hobby, którego rezultatem jest niezmiernie interesująca kolekcja obrysów dłoni popularnych i znakomitych wirtuozów fortepianu.

Pamiętam zdumienie z jakim porównywała Regina Smędzianka swą rękę z odbitką na kawiarnianej serwetce papierowej. Jej uwagę przyciągnęło m. in. prawie nieznaczne a jednak na obrysie jednoznacznie widoczne zgrubienie na pierwszym członie środkowego palca. To utrwaliły się jej zamiłowania i zdolności pisarskie. A że jest znakomitą reportażystką zdążyliśmy się przekonać m. in. z cyklu reportaży japońskich, zamieszczonych w swoim czasie przez „Ruch muzyczny".

Katalogu swego zbioru pan Witold nie prowadzi, więc trudno powiedzieć dokładnie, ile „sylwetek" dłoni już posiada, ale będzie ich co najmniej trzydzieści. Wykonane są na przeróżnym papierze, różnymi technikami od ołówka przez różnego koloru długopisy do piórka włącznie. (Z uwagi na trudności reprodukcji tych arcyciekawych i cennych pamiątek nie możemy ich zamieścić). Na przykład obrys swej prawej dłoni Halina Czerny-Stefańska utrwaliła na programie swego recitalu chopinowskiego w Ciechocinku. Program pisany jest na maszynie na papierze przebitkowym — bibułce. Pod programem miłe słowa dla zbieracza. Władysław Kędra wprost na konturze pisze podziękowanie za „piękne przygotowanie instrumentu i wyrazy sympatii"

Każdy kontur jest inny, jak różne są dłonie artystów. Dodatkowym smaczkiem zbioru są przytoczone techniki utrwalania i to, że zawsze widnieje prawa ręka. Całe studium można poświęcić tej pomysłowej i rzadkiej kolekcji.

Serce was boli hobbiści i łowcy autografów na wieść o tym zbiorze, który nie jest waszą własnością? Na pewno! Trudno wymagać od artystów obleganych po koncertach przez zbieraczy autografów, by byli aż tak hojni i prócz dedykacji pozwalali wszystkim na odrysowanie swych rąk. Co prawda zbieracze mają dobre i wyrozumiałe serca dla swych ulubieńców. Kiedyś Wandę Wiłkomirską „zastrzelił" swym pomysłem jeden z admiratorów jej sztuki, właśnie tu w Rzeszowie. Podsuwając śliczny notatnik otwarty na stronie z jej autografem pięknie powiedział: „Mnie proszę tylko swój podpis s p r o l o n g o w a ć!".

— I co pani na to?

— Zgodnie z życzeniem sprolongowałam!

GAMA

Pola Raksa — laureatką

Pola Raksa i Nadieżda Fiedosiewa uznane zostały przez widzów wielkiego moskiewskiego kina „Udarnik" za najlepsze aktorki radzieckiego filmu w 1967 r. Tak wysokie uznanie widzów moskiewskich zdobyła Pola Raksa za swą rolę w filmie „Zosia".

Tegoroczny konkurs - plebiscyt, w którym wzięło udział ponad 2 500 widzów, był już piąty z kolei. Kino „Udarnik" urządza go w pierwszych tygodniach roku. Wręczenie dyplomów laureatom miało uroczysty przebieg. Dyplom dla Poli Raksy jury przekazało przedstawicielowi ambasady PRL w Moskwie.

Fot. M. KOPEĆ

Historia, którą chcę opowiedzieć, jest od początku do końca autentyczna (jedynie w szczegółach mogły się zakraść drobne nieścisłości) zdarzyła się w latach drugiej wojny światowej. Jej bohaterami są mieszkańcy krośnieńskiej wsi.

Był grudzień 1942 roku. Na Podkarpaciu szalały śnieżne zadymki. Zaspy tarasowały drogi i wiejskie ścieżki. Zła zima trzeciego roku wojny. Skoro tylko wiatr ucichł, mieszkańcy Zręcina jak i innych miejscowości musieli pod groźbą surowych represji wychodzić z łopatami na drogi. Okupant żądał, aby wszystkie szlaki zdatne były do użytku. Zziębnięci, źle ubrani ludzie tkwili całymi dniami w zaspach, klnąc wojnę i jej dobrodziejstwa.

Stary Szymon Czajkowski wrócił wieczorem ze śnieżnego szarwarku solidnie zmarznięty. Zsunąwszy chlupoczące buciska, grzał nogi przy wciąż ciepłym, pękatym trociniaku i popijał gorącą herbatę. Tymczasem żona gospodarza, kobieta w średnim wieku, kończyła w stojącej w pobliżu domu oborze karmienie inwentarza. Krowy zjadły już buraki, siano, wypiły po wiadrze lodowatej wody, trzeba im było jeszcze zarzucić słomy. Pani Bronisława otwarła drzwi do stodoły i poruszając się w wątłym promyku światła, jaki rozchodził się od zawieszonej na gwoździu lampy naftowej, nabrała jak co dzień naręcze słomy i drgnęła z przestrachu. Jej ręka dotknęła czegoś żywego, ów przedmiot poruszył się i wymamrotał: niech pani nie krzyczy, niech się pani nie boi! To był człowiek, przemarznięty, wyczerpany do kresu sił, bezbronny i całkowicie bezradny. A przecież znali się od dawna, mieszkał w tej samej wsi, nieraz przychodził do domu Czajkowskich, skupował płody rolne. Lapner miał jednak to nieszczęście, że był Żydem. A wtedy właśnie władcy Trzeciej Rzeszy przystąpili do „ostatecznego rozwiązania sprawy żydowskiej".

Pani Bronisława słuchając urywanych wyjaśnień zbiega usiłowała znaleźć odpowiedź na zasadnicze pytanie: co robić? Odziać, nakarmić, zaopatrzyć w żywność i wyprawić go tam, skąd przyszedł? Przecież wiadomo czym to grozi, hitlerowcy nie znają litości, zatrzymać nieszczęśnika — to znaczy wydać nieubłagany wyrok na siebie i swych najbliższych! Ale jak tu odprawić z niczym człowieka zaszczutego, skazanego na zagładę, jak pozbyć się uciekiniera, który już nie ma gdzie się schronić?

Te wątpliwości, argumenty serca i rozsądku trzeba było rozstrzygnąć. Długo w noc trwały u Czajkowskich nerwowe narady. W gruncie rzeczy pani Bronisława od początku wiedziała, że nie potrafi powiedzieć nie! Nigdy by sobie tego nie mogła darować!

Skoro zapadła decyzja, trzeba było pomyśleć o jakiejś kryjówce. Obejrzano dokładnie całe gospodarstwo. I wtedy już nie wiadomo kto z domowników (dom Czajkowskich stoi na uboczu. W pewnej odległości bardziej w centrum wsi mieszkał ich syn Jędrzej wraz z żoną i trojgiem dzieci) wpadł na pomysł, aby zbudować w stajni podwójną ściankę. W ten sposób powstało coś w rodzaju szafy. Na dwu poziomach umieszczono tam półki z desek, które służyć miały za łóżka. Szczególnej pomysłowości wymagała konstrukcja wywietrzników. Chodziło o to, aby człowiek, który miał tam przebywać, nie udusił się z braku powietrza. Czajkowski — junior rozwiązał tę sprawę pomyślnie, konstruując pomysłowe gołębniki na dachu stajni. Równie sprytnie ukrył zamaskowane wejście do schowka. Umieścił je w chlewiku dla świni.

Lapner przyszedł po ratunek do Czajkowskiej z obozu. Do rodziny Lapnerów dołączyli również ich znajomi. Tak więc w kryjówce u Czajkowskich znalazło schronienie osiem osób. Można sobie wyobrazić, w jak trudnej sytuacji znalazła się pani Bronisława. Samo wyżywienie tak dużej grupy ludzkiej przekraczało możliwości niewielkiego gospodarstwa.

W domu Czajkowskich wszystko — na pozór — szło dawnym trybem. Szczególnie skrupulatnie gospodarze wywiązywali się z nałożonych przez okupanta kontyngentów, chodziło o to, aby nie narazić się na żadne podejrzenie, czy represję ze strony władz niemieckich. Jak dawniej, odwiedzali państwa Czajkowskich znajomi, krewni, nie darmo gospodyni słynęła z gościnności.

Ale był to jedynie pozorny spokój, jeżeli o spokoju można było mówić w tamtych latach, znaczonych hitlerowskim terrorem, mordami, aresztowaniami za byle głupstwo. Jeżeli drżeli wszyscy dookoła — to mieli do tego szczególne powody. Ileż razy ludzi zamieszkałych w przysadzistym, drewnianym domku tuż za cmentarzem porażał strach, gdy na drodze pojawili się nieoczekiwanie gestapowcy lub granatowi. Starannie ukrywali, nawet przed najbliższymi swą tajemnicę. Ale przecież na wsi niełatwo jest cokolwiek ukryć, ludzie znają się na wylot. Byle drobiazg mógł wzbudzić podejrzenie... Któregoś dnia jeden z sąsiadów przychodzi z wieścią, że w nocy zauważył jakiegoś człowieka kręcącego się koło zabudowań Czajkowskich... — Pewno jakiś złodziej — bagatelizuje sprawę pani Bronisława — ale nic nie zginęło, zamykamy wszystko solidnie. Po tej rozmowie ludzie z szafy nie mogą już opuszczać w nocy stajni. Nie wolno ryzykować... Kiedyś znowu spotyka Czajkowską z kubłami, pełnymi jadła, znajoma ze wsi. Kobieta jest wyraźnie zainteresowana. Na szczęście pani Bronisława uśmierza jej ciekawość zapewnieniem, że niesie właśnie posiłek dla kosiarzy, zajętych przy koniczynie... Jestem przekonany, że bez życzliwej, czynnej sympatii mieszkańców Zręcina, bohaterski czyn Czajkowskiej nie miałby szans powodzenia. Trzeba im również oddać sprawiedliwość, nie była to zresztą postawa odosobniona, lecz charakteryzuje stanowisko całego polskiego społeczeństwa w okresie okupacji.

Nie brak i innych zmartwień. Ludzie zamknięci w schowku też mają stargane nerwy. Całymi dniami leżą lub siedzą w półmroku, mogą rozmawiać tylko szeptem. Wprawdzie niektórzy z nich znajdują chwile zapomnienia w lekturze książek, które dostarcza im gospodyni, wprawdzie co noc schodzą do stajni, pomiędzy gospodarski inwentarz, rozprostowują zdrętwiałe kości. Ale cały koszmar, który przeszli, wcale jeszcze nie minął. Niektórzy są bliscy załamania. Mają wszystkiego dosyć, gotowi są w ataku depresji oddać się w ręce gestapo. Pociesza więc pani Bronisława, dodaje otuchy, zachęca do wytrwania, przecież kiedyś skończy się ten koszmar...

Sama przecież nie ma ani odrobiny pewności, czy doczeka lepszych czasów. Byle przypadek, chwila nieostrożności, jakiś nieprzemyślany krok może stać się powodem zguby. Co dzień ludzie opowiadają o okropnościach, jakie

się dzieją dookoła. Za współpracę z partyzantami, prawdziwą czy też tylko podejrzaną, wywozi się całe rodziny do Oświęcimia, katuje w lochach krośnieńskiego gestapo. W sąsiedniej wsi hitlerowcy znaleźli u jednego z gospodarzy ukrywających się Żydów. Wymordowali całą rodzinę, gospodarstwo puścili z dymem.

Ileż to razy pani Bronisława budzi się w nocy z krzykiem. Przyśniło się jej, że Niemcy walą kolbami w drzwi. Ile razy wstrzymuje oddech, słysząc warkot nadjeżdżającego samochodu. Zatrzyma się przed jej domem czy pojedzie dalej? Czy można przestać myśleć? W jaki sposób utrzymać w ryzach wyobraźnię przywodzącą coraz to nowe skojarzenia? Ogromną ulgę daje — mimo kolosalnego zmęczenia, kierat codziennych, gospodarskich obowiązków. Niekończące się zajęcia domowe, przyrządzanie posiłków dla dziesięciu osób, pranie, rozliczne prace na roli, w których pomaga mężowi. Robota pochłania, wciąga, dzięki niej można przynajmniej na chwilę zapomnieć...

Szczególne zabiegi czynią Czajkowscy, aby zdobyć dodatkowe wiktuały, niezbędne dla wyżywienia tylu ludzi. U krewnych, znajomych, w sąsiednich wsiach dokupuje zboża, tłumacząc się kiepskim urodzajem...

Nadchodzi lato 1944 roku. Front zbliża się coraz bardziej, wolność jest coraz bliższa, piszą o tym konspiracyjne gazetki, opowiadają ludzie, widać to z nerwowej krzątaniny hitlerowskiej administracji. Wreszcie daje o sobie znać lekkim pomrukiem armat, błyszczącymi w słońcu sylwetkami samolotów z czerwoną gwiazdą. I wtedy właśnie Czajkowscy przeżywają najbardziej dramatyczne chwile. W ich domu kwateruje oficer Wehrmachtu. Ma on ordynansa, który darzy szczególnymi względami małego cielaka. Często zachodzi do stajni, gładzi przypominające sarenkę stworzenie. Stała obecność Niemców stwarza nie lada problemy. Trudno dostarczać posiłki do schowka, niepodobna się swobodnie poruszać. I jeszcze na dodatek ów „miłośnik" zwierząt. Pani Bronisława zaczyna podejrzewać, czy przypadkiem on czegoś się nie domyśla? W dodatku ukrywający się zaczynają również zachowywać się niepokojąco. Jeden z nich zarzuca wręcz pani Bronisławie, że specjalnie sprowadziła Niemców, aby ich zgubić. Argument ten nie wytrzymuje krytyki. — Jakże bym mogła zgubić was, nie gubiąc równocześnie siebie i swej rodziny — tłumaczy Czajkowska szeptem. Jak tu jednak przekonać człowieka, który zatracił poczucie rzeczywistości, jest od miesięcy odcięty od świata? Na szczęście, są w grupie rozsądniejsi, udaje im się uspokoić współtowarzysza niedoli.

Wczesnym rankiem 8 września huk armat budzi mieszkańców Zręcina. Ludzie schodzą do piwnic. Niemcy z pośpiechem pakują manatki. Strzelanina wzmaga się, przybliża, hitlerowcy wycofują się w popłochu. Gdzieś w południe we wsi pokazują się radzieckie patrole. Jeszcze trwa bitwa, jeszcze nie wiadomo, co będzie dalej, czy to naprawdę zbliża się ta upragniona wolność.

Nazajutrz ośmiu ludzi opuszcza szafę w ścianie stajni. Są zarośnięci, niedomyci i bladzi, ubrani byle jak, ale cali i zdrowi. I wolni. Ogarnia ich niepohamowana radość, ściskają i całują swych wybawców, padają sobie w ramiona, śmieją się i płaczą na przemian, śpiewają i tańczą. Przeżyli w „szafie" ponad 500 niekończących się dni, i oto teraz są wolni, mogą dysponować swym czasem, świat stoi przed nimi otworem. I już nie muszą się bać, że każdy dzień, każda godzina może im przynieść śmierć z ręki hitlerowskich siepaczy....

Rozjechali się w dalekie kraje, założyli rodziny... Nie wszyscy pamiętali o swej wybawicielce. Kilkoro jednak utrzymywało z nią kontakt po dzień dzisiejszy, pomagało jej w leczeniu nadszarpniętego zdrowia, starało się spłacić dług wdzięczności.

Nie wiem, jakie jest dzisiaj ich stanowisko wobec kampanii oszczerstw, miotanych na nasz kraj przez ośrodki międzynarodowego syjonizmu. Nie wiem, czy stać ich na odwagę, zwyczajny ludzki gest powiedzenia prawdy, w chwili, kiedy szkaluje się, nie przebierając w środkach, bezprzykładne bohaterstwo i poświęcenie tysięcy Polaków, którzy nie bacząc na najwyższe niebezpieczeństwo, ratowali i uratowali dziesiątki tysięcy Żydów polskich i tysięcy Polaków, którzy zginęli, niosąc im pomoc.

Przywracać radość życia

Z Ewą Szelburg-Zarembiną, znaną pisarką, autorką wielu książek o dzieciach i dla dzieci, rozmawiamy w jej mieszkaniu pełnym książek, pamiątek i pierwszych wiosennych kwiatów. Stół, przy którym pijemy kawę, usłany jest stosem listów i depesz. Dzień w dzień do małego domku na warszawskim Mokotowie listonosz przynosi nową, pokaźną paczkę korespondencji. Słowa uznania dla inicjatorki apelu wzywającego do uczczenia pamięci małych bohaterów płyną dosłownie z całej Polski, z najodleglejszych wsi i osad. We wszystkich listach, zarówno tych pisanych przez dorosłych i młodzież, jak i tych dziecięcych, ozdabianych własnoręcznie narysowanym kwiatkiem, oprócz podziękowań za piękną inicjatywę są konkretne zobowiązania i deklaracje.

Dziesiątki, setki zobowiązań. Wszystkie sprawiają autorce apelu ogromną radość. Najwięcej wzruszeń dostarczają oczywiście słowa pisane niewprawną, dziecięcą rączką. Autorka „Matki i Syna", która w swej twórczości wiele miejsca poświęca najmłodszym, mówi o dzieciach ciepło, serdecznie. Każde jej zdanie na ten temat jest przepojone głęboką miłością. Odnosi się wrażenie, że wszystkie sprawy małych Jurków, Wojtków i Halinek interesują pisarkę jednako.

Zapytana, jakie propozycje i sugestie wysuwa pod adresem projektantów przyszłego Centrum Zdrowia Dziecka, przypomina, że placówka ta ma służyć całemu krajowi, wszystkim dzieciom, a przede wszystkim tym zamieszkałym daleko od Warszawy. Tu także, jej zdaniem, powinni się szkolić i zdobywać wyższe kwalifikacje pediatrzy terenowi. Działalności Centrum nie można jednak — jak mówi — zawężać wyłącznie do zagadnień leczniczych. Powinien to być również ośrodek wychowawczy, służący radą i pomocą rodzicom oraz wychowawcom.

W Centrum powinny panować radość i pogoda. Dlatego też w pełni zgadza się z opiniami wypowiadanymi już przez innych, że nie należy gromadzić tu pamiątek świadczących o martyrologii dziecięcej. Te budzące grozę dokumenty powinny być eksponowane w którymś z istniejących już muzeów. Z inicjatywą gromadzenia ich wystąpiło już zresztą Muzeum Wojska Polskiego. W Centrum natomiast nie powinno zabraknąć miejsca na zobrazowanie optymistycznych dziecięcych tęsknot i dążeń do bohaterstwa. Teraz, w czasach pokoju, też mamy małych bohaterów zdolnych do poświęceń, których powinno się uczcić, którzy stanowiliby wzór godny naśladowania dla młodego pokolenia. Młodzież i dzieci chcą zresztą i pragną mieć swoich bohaterów. Trzeba więc, aby projektanci Pomnika myśleli o zaakcentowaniu tych pogodnych, dziecięcych dążeń do bohaterstwa. Warto również pomyśleć o akcencie architektonicznym, symbolizującym wkład w budowę Centrum całego społeczeństwa, o cegiełkach z nazwiskami tych wszystkich, którzy ofiarowali na budowę Pomnika kwoty pieniężne i swoją pracę.

ZOFIA KAMIŃSKA

Stefan Melkowski

Rzeczywistość fantazji

Bohater mego felietonu — Tadeusz Kubas jest długoletnim działaczem, a obecnie przewodniczącym rzeszowskiego ośrodka KKMP. Od wielu lat z uporem i konsekwencją pisze (i drukuje) — wiersze. Jest cały czas czynny zawodowo, ostatnio pracuje — bodajże — w rzeszowskim oddziale Centrali Zaopatrzenia Szkół, która to instytucja ma (może?) tyle wspólnego z poe-

zją, że dostarcza (przynajmniej powinna!) do szkół taśmy i płyty z nagraniami współczesnej i dawnej poezji. Zatem pracuje i pisze. Jest także działaczem nieprzerwanie i aktywnie uczestniczącym w życiu swej rodzinnej Rzeszowszczyzny i samego Rzeszowa, miasta o wciąż rosnących (i solidnie zaspokajanych) ambicjach kulturalnych. Wreszcie jest właścicielem najbardziej chyba znanego w Rzeszowie „mieszkania poetyckiego" (jeśli dawniej istniały „salony poetyckie" — to dlaczego w naszych współczesnych, demokratycznych czasach nie może istnieć „poetyckie mieszkanie"?), mieszkanie typu M-3.

Właśnie ukazał się i jest w księgarniach pierwszy tomik poetycki Tadeusza Kubasa podsumowujący jego dorobek kilkunastu lat pisania wierszy. Debiut jest późny, bo nasz poeta liczy już sobie trzydzieści sześć lat, ale to jest właśnie prawidłowe, typowe dla drogi życiowej i drogi twórczej obranej przez Kubasa i jego kolegów. Zajrzyjmy zatem do tej książki poetyckiej! Prezentuje się ona nader okazale, bo ozdobił ją swymi pracami graficznymi znany rzeszowski plastyk Jerzy Sienkiewicz. Ale rzecz najbardziej istotna — jakie są wiersze!? Można powiedzieć skrótem: są one wytworem fantazji i wyobraźni poetyckiej, która jest tak konkretna, że staje się rzeczywistością. Kiedy poeta stanie przed strzelistą gotycką katedrą, to konstatuje rzeczowo (wiersz pt. „Gotyk"): „Na wysokość //stu wołów// posprzęganych pionowo //wystrzeliła wieża". Ale zaraz w następnej zwrotce daje upust drugiemu żywiołowi swej duszy — marzeniu: „Kondygnacja ostatnia (oprawiona) w rój piórek, //strzępi skrzydła o brzeg „widnokresu". — Trzecia zwrotka, zawiera pointę myślową: „Drąży (wieża gotyku) z wolnej woli (C z ł o w i e k a) strefy wielkich królestw// mitycznych". Jest na pewno walorem wierszy Kubasa ich zaangażowanie społeczne, ich myślowe uczestnictwo we współczesnych naszych sprawach, tym niemniej jednak dydaktyzm tu i tam wydaje się nadmierny. Bardzo interesujac są wiersze Kubasa, w których zawiera, jak gdyby syntetyczne ujęcie swego życiorysu, zaczynającego się przecież we wsi rzeszowskiej („Narodzenie", „Dzieciństwo", „Życie"), a także te, w których przedstawia przemiany zachodzące na jego rodzinnej ziemi (tytułowy wiersz „Podpromie" — o dzielnicy Rzeszowa, gdzie wieżowce wypierają „wrosłe w ziemię chaty babuleńki") wreszcie te, w których zastanawia się z uwagą i uczciwie nad różnymi trudnymi sprawami naszych czasów („Przeciw konwencji", „Modny pies", „Miecz Damoklesa") i inne. Ale Kubas, to przede wszystkim malarz konkretności świata, chociażby to była fantazja, jak np. w wierszu „Życie w ramach okiennych", „Bogactwem mroźnych hieroglifów (wyległ na szyby duch Matisse'a) mieczyk pod ręką z palmą hasa (paproć o wzajemność pyta), stary mech — hermafrodyta (lilia jakże tym zgorszona (nie zostanie nigdy żoną), woli z trzciną romans cichy". Bo Tadeusz Kubas konkretną rzeczywistość swego życia przetwarza w poetycką fantazję, a fantastycznemu światu wyobraźni nadaje kontury zgrzebnej rzeczywistości. Dobrze się stało, że wierszom Kubasa towarzyszą prace graficzne Jerzego Sienkiewicza. Wprowadzają one (np. „Martwa z kielichem", „Męska głowa", „Potok" i inne) w nastrój utworów i zbliżają ich temat do czytelnika.

Prasa przed radiem i TV

Wbrew pesymistycznym przewidywaniom — czytelnictwo gazet i czasopism w naszym kraju oparło się konkurencji radia i telewizji. W okresie ostatnich 7 lat jednorazowy średni nakład dzienników wzrósł o 26,5 proc. Na jednego mieszkańca Polski wypada dziś rocznie prawie 84 egz. czasopism różnego typu, podczas gdy w 1960 r. było ich 66,9.

W ciągu tych lat liczba kiosków i sklepów z gazetami wzrosła do ponad 26 tys., a zatem — o 14,8 tys.

Siódma część czasopism trafia do czytelników wiejskich drogą prenumeraty. Okazuje sie bowiem, że 11 tys. punktów sprzedaży gazet na wsi nie może sprostać potrzebom kulturalnym ich mieszkańców, że wiele jeszcze odległych osad utrzymuje łączność ze światem za pośrednictwem listonosza. Ten stan w znacznej mierze wpływa na czytelnictwo wiejskie. Przypada tam 4-krotnie mniej gazet i pism niż na mieszkańca miasta.

Instytut Książki i Czytelnictwa przeprowadził ostatnio w 6 gromadach wywiady z 1459 młodymi ludźmi w wieku 15—19 lat na temat ich zainteresowań czytelniczych. Przedmiotem badań były wioski odległe od centrów kulturalnych, np. Łomazy w pow. Bielsko-Biała, Szemud k/Wejherowa, Cmechowo w pow Szamotuły. Ankieta ujawniła, że z kina — jako środka masowego przekazu — korzysta 87 proc. zapytywanych, tyleż z radia, a z telewizji 81 proc. Ale aż 88,5 proc. osób czyta stale prasę. Najpopularniejszym pismem — wymienionym przez respondentów — jest „Przyjaciółka".

Tak więc wieś, mimo wzrostu liczby aparatów radiowych i telewizyjnych pozostaje na dal najwdzięczniejszym odbiorcą gazet, najbardziej chłonnym i najżywiej reagującym na wszelkiego typu ankiety redakcji itp. Toteż w ostatnim czasie większość egzemplarzy pism pochodzących ze wzrostu nakładów — kierowana jest właśnie do czytelników wiejskich.

Maria C. Guziołek

BAZA

Dzisiejszy Rzeszów niewiele ma wspólnego z miasteczkiem sprzed laty, awansowanym na stolicę województwa. Generalna przebudowa w ostatnim okresie zmienia całkowicie wygląd miasta. Nawet starzy rzeszowianie zaczynają tu błądzić. Powstają zabawne sytuacje. Ludzie, którzy byli pewni, że znają miasto, coraz częściej stają przed dylematem: gdzie jestem? Nowy Rzeszów w zasadzie zaczyna się we wszystkich kierunkach od prawie niezmienionej ul. 3 Maja.

W czasie świąteczno-wiosennego spaceru bystrym obserwatorom życia i bodaj nie tylko im — refleksje nasuwać będą się same. Na koncie bowiem: „dokonane", już dziś odnotować trzeba bardzo wiele. Jednak do zrobienia pozostaje chyba nie mniej.

Ostatnie „spotkanie na szczycie" gospodarzy miasta, o którym chcę wspomnieć, jednoznacznie kazało pamięci spenetrować braki pilne, bardzo pilne do uzupełnienia. I właśnie tę uwagę: „bardzo pilne" otrzymały planowane budowy obiektów kulturalnych.

Na mapie centrum Rzeszowa widnieje 5 miejsc, na których powstają lub powstaną budowle przeznaczone dla służby Muz. Wymienić je można prawie jednym tchem, bo rzeczywiście od oddania ich do użytku nieomal zależy właściwy rozwój różnych gałęzi kultury w naszym środowisku i zapewnianie potrzeb społecznych w tej dziedzinie. Gmach Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego widocznym jest w głównych zarysach murów, które świeżością czerwieni cegły przyciągają wzrok przechodniów przy ul. Słowackiego. 20 kwietnia br. roku upłynie pierwsza rocznica uroczystego wbudowania aktu erekcyjnego tej oczekiwanej placówki. Budowla ma być oddana do użytku w roku 1970. Wykonawca jest serdecznie zaangażowany w realizacji obiektu trudnego do budowy, bo nietypowego, ale gdy budynek będzie gotowy, jego budowniczowie satysfakcji winni też mieć wiele. W tej chwili ta budowa nie nastręcza większych kłopotów.

O dalszych czterech z takim spokojem mówić trudno. W zasadzie istnieją one tylko w założeniach i ich inwestorzy niejeden jeszcze będą mieli orzech do zgryzienia. A czas nagli!

Najbardziej pechową placówką jest jak dotąd Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna. O konieczności gmachu z prawdziwego zdarzenia mówi się od lat. Czyniono wiele starań, ale jak dotąd budowa nie wyszła jeszcze ze stadium projektu. Przeznacza się na ten cel około 40 mln zł. Budynek będzie się mieścił przy ul. Dąbrowskiego, tuż za nowym rondem, tam gdzie obecnie wśród zieleni kryje się romantyczny dworek. Miejsce rzeczywiście piękne! Obecnie wszystko wskazuje na to, że realizację gmachu dla WiMPB będzie można rozpocząć dopiero w następnej 5-latce. Niezbyt ponętna perspektywa, ale wiele wysiłku będzie jeszcze musiał włożyć inwestor, by dopilnować tego terminu. Przepisy projektowe i budowlane są tak obszerne, że przebrnąć przez wszystkie „ucha igielne" tej struktury nie jest sprawą łatwą. Jednak troska i zaangażowanie w realizację tych obiektów władz naszego województwa i miasta są tak serdeczne, że wreszcie i ta budowa ruszy...

Z ogromnym zainteresowaniem przyjęli kinomani wieść o projekcie budowy kina z ekranem dla taśmy 70 mm. Na razie w Polsce czynne są tylko 2 tego typu kina: w Łodzi i Krakowie. Przebudowując ekrany kin na szerokie, mówiło się o panoramie. Dopiero teraz widząc w kinach przeznaczonych na filmy z taśmą 70 mm, można zdać sobie sprawę, jak niewiele z kinem panoramicznym ma wspólnego dotychczasowy szeroki ekran.

Kino na szeroką taśmę usytuowano na zbiegu ulic Obrońców Stalingradu i Staszica. Przewiduje się tu salę na 800 miejsc. Ogólny koszt 20 mln zł. Jednak i w tym przypadku nie mamy jeszcze konkretnych terminów. Wiadomo, że placówka jest pilnie oczekiwana, jednak znowu wyłaniają się problemy projektowo - dokumentacyjne, zresztą niezależne już od miejscowych czynników — i o terminie otwarcia kina dziś mówić trudno.

W przyszłym roku wchodzi jednak do realizacji gmach dla teatru naszych milusińskich — „Kacperka". Będzie się mieścił w trójkącie ulic Buczka, Dąbrowskiego i Hoffmanowej. Pierwsze przedstawienie po latach tułaczki we własnym domu będzie nie lada przeżyciem, tak dla zespołu aktorskiego, jak i małych miłośników teatru.

Piątą placówką związaną z działalnością kulturalną na terenie naszego miasta będzie zespół Technikum Sztuk Plastycznych, w którego skład oprócz pracowni wejdzie również internat dla przyszłych adeptów sztuk plastycznych.

Zamierzenia bardzo szerokie i ogromnie kosztowne, ale jakże konieczne dla właściwego rozwoju życia społeczno-kulturalnego miasta. Spotkanie, o którym wspomniałam, było typowo roboczą naradą. Inwestorzy, budowniczowie oraz włodarze Rzeszowa wraz z odpowiedzialnymi pracownikami resortów kultury przedyskutowali stan zaawansowania prac przy realizacji tworzenia bazy materialnej dla prawidłowego działania i rozwoju kulturalnych placówek. Następne spotkanie wyznaczono na wrzesień br. Z atmosfery narady wnioskuję, że już za kilka miesięcy o bazach dla kultury będzie można bardzo konkretnie mówić.

Korzenie

Fot. E. SAJDAK

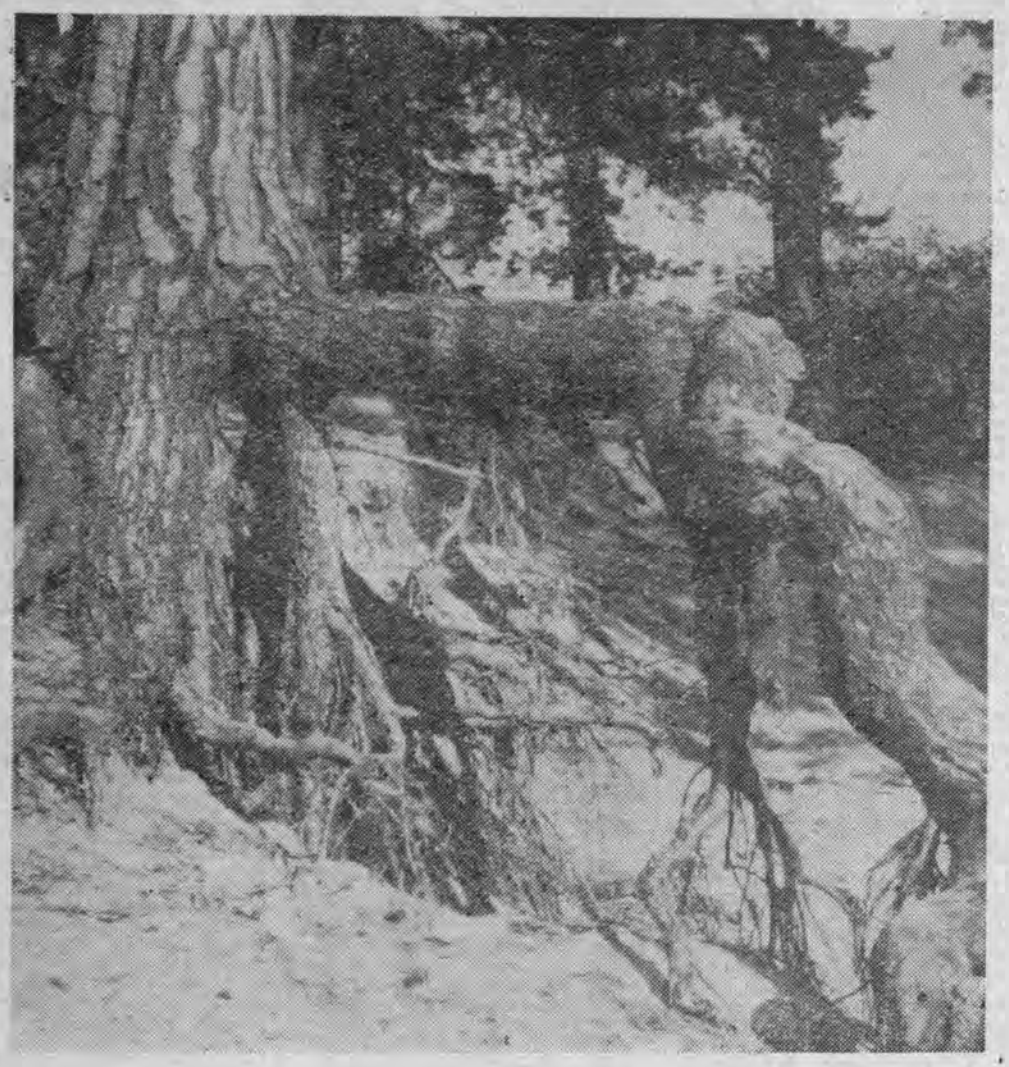

◆ Korespondencje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Korespondencje ◆

Stanisław Hoszowski

„Zmierzch" — czy też nieco inaczej

Trzy są problemy, które wysuwa Aleksander Żyga w swoim artykule „Czy zmierzch poezji chłopskiej?" (Widnokrąg nr 12/338) z dnia 24 III 1968 r.). Jest to wprawdzie recenzja, ale... jakże mocno dotyka spraw wiejskiego pisarstwa i poezji, a zwłaszcza, jak mocno obchodzi wiejskich twórców!

Fot. A. ŁOKAJ

Jako pierwsze wyłania się tu pytanie definicji tego, co A. Żyga nazywa poezją chłopską, a czemu inni usiłowali i usiłują nadać inne miana, np. poezji ludowej, gminnej itp. Jak wskazuje sam artykuł, definicji tej jeszcze nie ma. A brak to nie błahy! Wszakże od niej, tj. od tego co będziemy rozumieli w tym znaczeniu będzie zależało i traktowanie tego „rodzaju" poezji, a więc i pytanie, czy będzie się ona rozwijać, czy też zanikać. To jest sprawa rzeczywiście ważniejsza, niż pytanie terminologii!

Aleksander Żyga uważa, że „trudne do określenia i zdefiniowania istota i kryterium poezji chłopskiej, dalej pozostaje do opracowania i tylko chyba za pomocą podejścia historycznego da się go rozstrzygnąć". Można by się zgodzić z tym stanowiskiem pod warunkiem, że sięgnie się do... „historii bieżącej" tj. do nieustannie w historyczną przeszłość uciekającej... współczesności! Zdaje się, że żadnego innego kryterium zastosować tu już nie można. Stary, historyczny folklor, gmin, a nawet lud odchodzi już w niepowrotną przeszłość. Widać to — jak powiada i A. Żyga — „na tle współczesnych przeobrażeń życia na wsi". To jest element, który nie rokuje już widoków na jakieś dalsze i znaczniejsze rozwijanie się poezji prymitywu. Ośmioklasowa szkoła, najrozmaitsze kursy, biblioteka gromadzka i nie tylko gromadzka, kino, radio, telewizja itp. zapoczątkowały bez wątpienia jego zmierzch. Nie należy jednak przy tym zapominać, że wszystko to, jak i żadne inne wykształcenie nie pasują jeszcze nikogo na pisarza ani — i to tym mniej, na poetę. Samokształcenie w tym kierunku jest tu nieodzowne bez względu na stopień wykształcenia i nieodzownym jest też... talent.

Chłop młodszego pokolenia różni się znacznie oświatą od dawnego chłopa, wieś jest nadal prężna i to we wszystkich kierunkach, ba! — w niej tkwią te najgłębsze, choć może i naprymitywniejsze korzenie kultury i nie ma wątpliwości co do tego, że i ona będzie pisać i tworzyć, choć — bez wątpienia — inaczej niż dawniej.

Tak wygląda chyba „bieżąca historia wsi", czyli jej współczesność. A nie inaczej wygląda ona i w środowiskach robotniczych. I nie tylko to. Bo co powiedzieć i gdzie podziać inteligencję (nie tę z awansu społecznego), która siłą rzeczy coraz częściej musi osiadać na wsi, z wsią pracować — i mniej lub więcej — żyć jej sprawami? Czyż i jej nie będzie wolno nic mówić o „chłopskich" sprawach i czy ona musi być skazana tylko na poezję bezprzymiotnikową?

W tych nowych stosunkach zawodzą i zawiodą chyba wszystkie stare definicje i wszystkie stare kryteria... tu musi wyłonić się nowa definicja! A ta będzie mogła mówić tylko o literaturze, poezji itd. ś r o d o w i s k o w e j! Taką definicję i kryterium przeczuwa już i Jan Szczawiej w swojej Antologii (będącej przedmiotem recenzji), ponieważ powiada, że należy zaliczyć tu ludzi „takich, którzy ze swymi środowiskami zostali związani na zawsze". Dopiero pod tą ogólną definicją będzie można zmieścić poezję wiejską, robotniczą, miejską (kawiarniano-biurkową?), akademicką czy nawet ogólnokrajową, przymiotnikową lub bezprzymiotnikową(pod innymi względami).

Warto by się zastanowić i nad tym, czy ta definicja nie byłaby najwłaściwsza i dla innych działów sztuki, ponieważ zagwarantowałaby ona wszystkim im właściwe miejsce i rangę, a jest przy tym zdolna do zniesienia wszystkich granic regionalizmu, prowincjonalizmu i innych nie nazbyt sprecyzowanych jeszcze pojęć i przejawów.

Jako przykład stosowania tej definicji w praktyce (choć na razie jeszcze nie tak sprecyzowanej), można przytoczyć chyba „Antologię Pisarzy Wiejskich", która ma się ukazać już w trzecim tomie w bieżącym roku. Nie będzie to nic innego, jak jeden z wycinków pisarstwa środowiskowego, wydanego przez Wydawnictwo Lubelskie.

Przy wprowadzeniu do wiejskiego, środowiskowego pisarstwa odpowiedniej gradacji znajdzie się w nim miejsce na wszystkie jego stopnie doskonałości od prymitywu poczynając, jeżeli ten pojawi się jeszcze tu i ówdzie, co bynajmniej nie jest wykluczone.

Drugi z poruszanych w w/w artykule to problem „sytuacji wyobcowania poetów chłopskich nie docenianych współcześnie i nie drukowanych".

Krytyk nie znający środowiska z którego pochodzi dany utwór (np. o wiejskiej, robotniczej czy innej tematyce i specyfice), nie może ocenić go należycie pod żadnym względem, nawet formalnym. Dla niego obca jest np. rytmika pracy ludzi i maszyn i obca będzie dla niego rytmika wiersza do tego dostosowana. Obce i martwe będą dla niego przedmioty i narzędzia, które w danym środowisku mają niesłychane znaczenie i wymowę, obce radości i troski, zwroty językowe itd. itd. tego środowiska. Jeżeli autor natrafi przy tym na poetę — krytyka biurkowo-kawiarnianego, to może dojść do przypadku, że ten — traktujący pozamiejską twórczość jako coś niesłychanie niskie i raczej natrętne, zbyteczne — będzie czytał ten utwór tylko bardzo powierzchownie. Przy tego rodzaju „krytycyzmie" autor odchodzi ze wstydem i za krytyka i za siebie samego, że udał się w ogóle do niego i traci wszelkie twórcze chęci... każdy wysiłek jest bowiem w takim wypadku bezcelowy.

Rzecz jasna, że nieporozumienia nie zawsze mają takie źródło, bo nawet krytyk mający najlepsze chęci nie oceni wartości tego, co mu się przedstawia tylko słownie, bez znajomości obiektu z autopsji, czy przyzwyczajenia. Najłatwiej zrozumiałe są w takich wypadkach łatwo więdnące kwiatuszki liryki, zwłaszcza na tematy miłosne, zaś o inne gatunki poezji nie ma się co kusić — te będą z reguły „odwalane". Najczęściej też język prosty — a piękny właśnie przez tę prostotę — nie znajduje uznania — pobija go blichtr błyskotliwych na moment wyrażeń będących w.... modzie. Kapitalne nieraz i niedoścignione zwroty gwarowe są przyjmowane z niechęcią albo wprost odrzucane. I to przez kogo? Przez tych, którzy na co dzień spotykają się z daną gwarą, którzy sami nieświadomie wplatają ją do swego, tylko na ogół literackiego języka, którzy na gwałt uczą się języków obcych, ale... nic nie wiedzą o tym, co powiedział jeden z naszych najznakomitszych znawców i miłośników języka, że „gwara to nie zepsuty język, ale sam miąższ i rdzeń polszczyzny" (Aleksander Brueckner)... tym pogardza się nieraz po prostu na rzecz czasem najdzikszych i najbardziej bezsensownych zestawień „metaforycznych", przygniatających niby kupa błyskotek szczere złoto prawiekowego, szlachetnego słowa wbudowanego w jędrne i wiele mówiące, artystycznie wartościowe zwroty, nie tracące nigdy na wartości i nie przemijające z prądem czy modą. Rzecz jasna, że nie zawsze wartości te można znaleźć w wiejskiej poezji i że selekcja być musi, ale jej kryteria nie były dotąd zadowalające, przynajmniej jeżeli chodzi o nasz ściślejszy region.

Do poetów środowiskowych wiejskich należą nie tylko rolnicy. Są tu i robotnicy, technicy itp. pracujący także w terenie wiejskim, np. w kopalnictwie. Jak wspomniano i oni mogą pisać, a nawet usiłowali pisać. Jednakowoż ich sposób myślenia, dostrzegania, reagowania i bycia jest zupełnie inny niż u ludzi pracy tzw. typu humanistycznego. Ich świat, wdzierający się z każdym dniem coraz to więcej w nasze życie i zaczynający tu coraz bardziej dodominować, ujęty np. w poezji nie ma przy dotychczasowym nastawieniu żadnych szans ukazania się. I tu leży także, a może nawet przede wszystkim źródło rozbratu, o którym zaczyna się nareszcie mówić. „Inność" świata techniki i świata humanistyki, nie nadążającej za postępem technicznym, jej powierzchowność, szablonowość i wewnętrzne sprzeczności rażą i powodują, że pracownicy techniki nie mogą być należytymi konsumentami tego rodzaju kultury, że nie chcą brać udziału w jej tworzeniu, ponieważ nie są dopuszczeni do jej kształtowania.

Powody, że nie tylko poezja „chłopska", ale w ogóle środowiskowa, wiejska nie jest drukowana, leżą chyba także i w tym, że niektórzy miejscy „włodarze" tej sztuki uprawiają zbyt daleko idącą pogoń za... honorariami... tak obraz tego stanu rzeczy staje się pełniejszy, chociaż na pewno niepełny.

Trzeci z kolei to problem perspektyw poezji wiejskiej („chłopskiej") na Rzeszowszczyźnie. Piszącemu te słowa wiadomo, że w innych województwach tamtejsze wydziały kultury wykazują nie tylko zrozumienie dla takich spraw, ale nawet niejakie fundusze na finansowanie tego rodzaju wydawnictw. Jak stoi ta sprawa w naszym województwie podpisanemu nie jest wiadomo — może nie jest należycie poinformowany? W każdym razie da się tyle zauważyć, że np. przy planowaniu i urządzaniu przeróżnych „Dni folkloru" na ludową twórczość słowną, tj. na gawędy, bajki, gadki, zagadki itp. itd. w ogóle nie ma miejsca, jakby one nigdy nie istniały, i jakby nigdy nie miały żadnego znaczenia.. Taniec, muzyka i — często pseudoludowe stroje, tj. to wszystko, co nie ma żadnego związku z ludowym intelektem i z tym związanym artyzmem — oto i komplet przedmiotów „ludowej twórczości", eksponowanej w tych „Dniach Folkloru"! A ileż by się to znalazło zapalonych słuchaczy dobrze wyeksponowanych gawęd, klechd, gadek i utworów poetyckich dawnych i nowych!

Nie wolno przy tym zapominać ludzi, którzy, mimo wszystko wykazują wysokie zrozumienie dla tych spraw, a mianowicie niektórych osób z brzozowskiego Towarzystwa Kultury oraz z Redakcji Polskiego Radia w Rzeszowie. Ale nie wolno też nie zapytać, jakie poparcie znaleźli ci uparci pionierzy propagowania takich „nowości" i nie wolno nie zapytać co się robi w ogóle w sprawie wydania starszych, nowszych i najnowszych utworów wiejskiej poezji środowiskowej w naszym regionie? W jaki sposób myśli się ją propagować i dopomagać w jej rozwoju — jeżeli sie o tym myśli?

Takie oto są problemy, do których rozważania pobudza artykuł Aleksandra Żygi wymieniony na początku niniejszego. I takie są refleksje konstruktywnie myślącego, rzeczywistego, czy choćby potencjalnego twórcy, dostrzegającego szersze dziedziny kultury.

Górki, 5 kwietnia 1968 r.

Fot. M. KOPEĆ

Świeczka i ogarek

Punkt przyjęć w komizm ● Czynny tylko w sobotę i niedzielę

Sekreta ciekawe i doświadczone dla powszechnej wiadomości

Odcinek II i ostatni - okolicznościowy z okazji świąt

Ażeby się nie upić chociaż dosyć pijąc

Gdy się komu trafi okazja (wiadomo święta), że koniecznie musi w kompanii wiele pić, przeto, aby się nie upił i zdrowia sobie nie stracił, zrób sok z bukwicy, wyciśnij w jaki trunek i w ten sposób na czczo zażyj.

Inny sposób:

Kapusty włoskiej ugotować dekokt i tymże zażyj sposobem.

Polecamy! Interwencja MO, wzywanie pogotowia itp. z głowy!

Skąd my to znamy? Wino patykiem pisane!

Sposób, aby kury cały rok jaja niosły

Podczas lata dojrzałych pokrzyw gdy sobie mają ziarno jak najwięcej nazbierać i ususzyć. Ususzone schować po tym nasienie z otrębami pszennymi lub żytnimi lub innym ziarnistym pożywieniem kurom sypać. Jaja zaś, aby długo się konserwowały układać w popiele, albo suchym życie i przesypywać warstwą w naczyniu jakimś.

W ten sposób będziemy świąteczne jaja jedli cały rok!

Młode wino aby się wyburzało na stare

Aby z młodego wina prędko było stare, odtoczyć z beczki garniec jeden i kijem dobrze zamącić w beczce, w zamieszane w kwartę jednej prostej wódki wlać po tym dobrze zaszpuntować, a natychmiast wino prędko zacznie robić się i wyburzone uklaruje się.

Woda zatkana w butelce ażeby gotowała się bez ognia

Nalej w butelkę trochę wody, wrzuć w nią opiłki kruszcowe, tj. mosiądz. Zatkaj dobrze butelkę, a wkrótce obaczysz mocno gotującą się wodę i butelkę tak gorącą, iż gdyby się ktoś dotknął, sparzyć się musi.

W dyngus taką wodą oblewamy naszych przyjaciół!

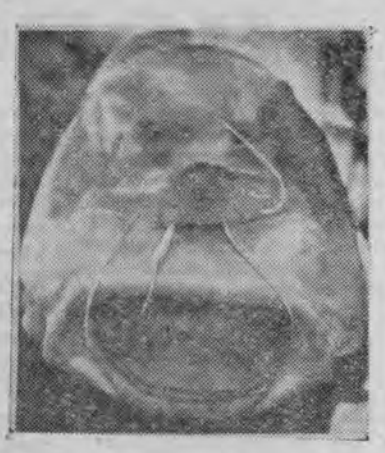

W okresie świąt biorą: brzany, brzanki, płotki, uklejki i świnki.
Na zdjęciu: tata — świnka po wypiciu małego piwka w cienkim szkle, z browaru O. K. Zarszyn.

W ostatnich dniach szczególną uwagę zwracają na siebie dzienniki TV, poświęcające kilka minut codziennie na przegląd prasy krajowej, wyjaśniającej tło i kulisy wypadków marcowych, ujawniającej z całą szczerością ordynarne machinacje kół syjonistycznych. Novum to wielce cenne, zwłaszcza dla tych telewidzów, do których prasa dociera z opóźnieniem. Dla telewidzów w odległych ośrodkach od centrum kraju, telewidzów wiejskich, spragnionych rzetelnej i szybkiej informacji oraz przejrzystego komentarza. Ostatni z takich komentarzy wygłosił Ignacy Krasicki na temat oszczerczej książki Henryka Grinberga, aktora teatru żydowskiego, zawdzięczającego swoje życie bohaterstwu i poświęceniu polskiej rodziny. „Wojna żydowska" wydana w „Czytelniku" jest jadowitym paszkwilem na polską partyzantkę, stekiem kłamstw przeciw historii i polskiemu narodowi. Pytania, kto akceptował ją do druku, w jaki sposób przeszła przez sito polskiej cenzury, jakie siły kryły się za tym ponurym faktem edytorskim — skłoniły Krasickiego nie tylko do słów potępienia i protestu, ale i do otwartego żądania ujawnienia winnych i wyciągnięcia wobec nich jak najdalej idących konsekwencji.

Wydaje mi się, że czas wyjaśniania kulis wydarzeń marcowych, ujawniania ich inspiratorów sprzyjałby większej jeszcze aktywności samej telewizji, organizowania przez nią właśnie dyskusji z ludźmi kompetentnymi, zwiększenia komentarza przejrzystego, który jest dla wielu niezorientowanych nader konieczny. Wypełniają tę lukę „Wieczorne rozmowy" dr Kąkola, wypełniła po trosze telewizyjna dyskusja z przedstawicielami kadry profesorskiej warszawskich uczelni — jest to jednak ciągle mało w porównaniu z szeroką falą zaangażowania obywatelskiego, która płynie przez kraj.

Z tym większą przeto uwagą przysłuchiwałam się dyskusji, zainicjowanej przez Telewizję Kraków w ubiegły wtorek, nadanej bardzo wczesnym popołudniem i, niestety, nie miejmy złudzeń, z powodu tej wczesnej pory przez wielu telewidzów przeoczonej. A szkoda, bo spotkanie przedstawicieli kierownictwa ZMS i ZSP z redaktorami krakowskiej prasy, licznie reprezentowanej, waga pytań i odpowiedzi, dotyczących nie tylko samych wydarzeń studenckich, ale wkraczających w głąb problematyki młodzieżowej, dawały rzeczywiście ważki materiał do przemyśleń.

Z innych programów zwrócił moją uwagę nowy teleturniej pod nazwą „Bronimy bramki", prowadzany przez Bogdana Misia. Teleturnieje w ogóle zbladły ostatnio i przestały przyciągać uwagę telewidzów, daleko za sobą zostawiając to powszechne zainteresowanie, jakie budziły przed laty. Zbyt długo zapewne eksploatowały monotonne formy zgaduj-zgaduli, zawierzając samej atrakcyjności poddanego egzaminowi uczestnika. Dziś quiz przeżył się wyraźnie. Bawią nas nie męczennicy — uczestnicy, którzy wykazać się muszą wiedzą o cesarzu Etiopii i wysokoprężnym silniku, lecz bawi nas forma teleturnieju decydująca o jego powodzeniu. Zaimponować nam właśnie może staranne jej przemyślenie, dobre tempo, humorystyczne nagrody (jak np. w „Wiem wszystko" otwieranie intrygujących pudełek) — a więc cała otoczka spraw, obmyślonych przez redakcję teleturnieju. Dlatego więc ostatni pomysł z trojakim sposobem strzelania gola, choć nie rewelacyjny, coś z tej świeżości jednak wniósł ze sobą i zasługiwał na odnotowanie. Gdybyż jeszcze przemiły pan Bogdan Miś nie rozciągał w nieskończoność zdania własnego; gdybyż jego objaśnienia rzeczy prostych nie były aż tak skomplikowane!

I na zakończenie dwie pozycje niedzielnej rozrywki: „Czarne na białym" Beaty Artemskiej z Katowic oraz „Gdy w ogrodzie botanicznym zakwitną bzy" Wojciecha Dzieduszyckiego z Wrocławia. Obie przyniosły rozczarowanie, obie z tych samych powodów — tzn. z braku jednolitej koncepcji. Obie bowiem wrzucały do jednego worka wszystko co od biedy pod rozrywkę podciągnąć się da i można, obie odgrzewały stary dowcip, przydając mu bądź nową i mocno wydziwaczoną formę (program Artemskiej), bądź nowych nie najlepszych wykonawców starego szlagieru (Wojciech Dzieduszycki). Do Dzieduszyckiego mam sentyment wielki, to i tym bardziej przykro mi o jego kabarecie pisać niezbyt sympatyczne słowa. Ale zestarzał mu się ten „Dymek z papierosa", snuje się smętnie i nieoryginalnie w atmosferze innych, dobrych kabaretów, zanadto zapatrzony w przeszłość, coraz widoczniej traci kontakt z dzisiejszym widzem.

Co i napisawszy, mam nadzieję, że święta i wiosna rozrywkę dadzą nam godną tej pory, że prawdziwie przy niej odpoczniemy, że pozwoli nam ona odrzucić precz wszelkie narzekania...

KRYSTYNA

Paweł Batow: W MARSZU I BOJU. Przeł. J. Laskowska, Cz. Czarnogórski. MON, s. 732. cena 42 zł.

Dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego. O słynnej 65 armii, która przeszła szlak bojowy od Wołgi do Odry i Bałtyku. O koncepcji i realizacji wielu ciekawych operacji. O żołnierzach, bohaterstwie i poświęceniu. Jest to już drugie poprawione i uzupełnione wydanie tej interesującej książki.

Konstanty Simonow: DNIE I NOCE. Przeł. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. MON. s. 344 cena 18 zł. Wyd. V popr. i uzup.

Książka ta cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem czytelników już od wielu lat. Interesująca fabuła, ciekawie zarysowane sylwetki bohaterów, prostych radzieckich ludzi, którym przyszło walczyć na śmierć i życie z faszystowskim najeźdźcą właśnie w mieście nad Wołgą. Pisana jeszcze w okresie trwania wojny. Reportażowe ujęcie tematu.

Walentyna Czudakowa: CZYŻYK — PTASZEK Z CHARAKTEREM. Przeł. W. Bieńkowska. PIW s. 228. cena 15 złotych.

Również pozycja związana z II wojną światową, i również radziecka. Sporo zapewne elementów autobiograficznych w tej prostej opowieści skromnej, wiejskiej dziewczyny, która od pierwszych dni wojny służyła w wojsku. Mniej o operacjach bojowych, więcej o ludziach i atmosferze panującej w Armii Radzieckiej. Wszystkie pozycje bardzo potrzebne w 50 rocznicę powstania Armii Radzieckiej.

Nevill Shute: OSTATNI BRZEG Przeł. Z. Kierszys. KiW. s. 373, cena 23 zł.

Angielski twórca napisał tę książkę w 1957 roku jako protest przeciwko szaleństwu wojny nuklearnej. Ta straszna wizja świata, który ma zginąć wskutek wybuchu wojny atomowej została przetłumaczona na wiele języków. Głośną jej ekranizację oglądaliśmy również w Polsce. Posłowie napisał Ryszard Frelek, który przytacza fragmenty przesłuchania pilota Powersa zestrzelonego na samolocie U-2, co stało się przyczyną zerwania spotkania na szczycie. Pokazuje dalej eskalację napięcia spowodowanego agresywną polityką imperializmu.

Walter Heynowski; Gerhard Scheumann: KONGO — MUELLER. Wyznania mordercy. Przeł. H. Wandowski. Wyd. Poznańskie s. 92 cena 10 zł.

Znamy już tę postać z telewizji. Książka jest bowiem stenogramem rozmowy utrwalonej na taśmie filmowo-dźwiękowej. Człowiekowi temu reporterzy telewizji NRD poświęcili dwa filmy dokumentalne. Stenogram ujawnia kulisy działalności białych najemników w Kongu. Pokazuje okrucieństwo w czasie krwawych walk o wpływ w Kongu, jakie miały miejsce w latach 1964—1965. Liczne ilustracje charakteryzują tę odrażającą postać.

Władysław Broniewski: WIERSZE I POEMATY. PIW s. 456, cena 25 zł. Wyd. VI.

Kolejny tom utworów wybranych ze wszystkich okresów twórczości poety związanego z życiem i walką klasy robotniczej. Bardzo staranne wydanie. Opracowanie typograficzne.

Petroniusz: SATYRYKI. Przeł. i oprac. M. Brożek. Ossolineum s. 192, cena zł 22. Biblioteka Narodowa.

Mieczysław Brożek we wstępie przedstawia genezę utworu, sylwetkę pisarza znanego z „Quo Vadis" Sienkiewicza oraz historię „Uczty Trymilchiona". „Uczta" oraz „Satyryki" składają się bowiem na całość tomu.

WESTERPLATTE. Zebrał, opracował i wstępem opatrzył Zbigniew Flisowski. MON s. 400, cena 42 zł, mapy, ilustracje.

Jest to już piąte wydanie, poprawione i uzupełnione, książki wyróżnionej nagrodą ministra obrony narodowej. Obok wstępu, który analizuje stosunek sił polskich i niemieckich, relacje oficerów i żołnierzy, którzy bronili tego skrawka ziemi polskiej w Zatoce Gdańskiej w 1939 roku.

Francois Ramade: ŚWIAT MRÓWEK. PWN s. 118, cena 10 zł. Omega.

Francuski naukowiec. Duży zasób informacji na temat morfologii i etologii mrówek. Obecny stan wiedzy o tych owadach, które zawsze budziły żywe zainteresowanie.

Jonh Dickson Carr: TABAKIERKA CESARZA. Przeł. K. Tomorowicz. Czytelnik s. 230, cena 17 zł.

Amerykanin, autor przeszło 40 powieści detektywistycznych. Kto zabił starego kolekcjonera? Zagadka trudna do rozwikłania.

Stanisława Kossakowska: GDY DZIECKO BOLI BRZUSZEK, PZWL s. 32, cena 2 zł.

Porady dla rodziców.

Jan Bogdanowicz: JAK CHRONIĆ DZIECKO PRZED CHOROBAMI ZAKAŹNYMI. PZWL s. 36, cena 2 zł.

PIEŚNI I PIOSENKI RÓŻNYCH NARODÓW. 8 piosenek na tercet żeński z tow. fortepianu. CPARA, s. 42, cena 16 zł.

INFORMATOR REPERTUAROWY DLA TEATRU AMATORSKIEGO. CPARA, s. 164, cena 30 zł.

NA NASZYM EKRANIE

Anna Magnani

11 kwietnia obchodziła swoje urodziny. Które? Nie będziemy niedyskretni. Faktem jest, że rok, w którym przyszła na świat kończył się cyferką 8. Trudniej natomiast ustalić okoliczności tych urodzin. Liczne źródła podają, że miały one miejsce w Aleksandrii, że matką Anny była Włoszka, a ojcem Egipcjanin. Ona sama utrzymuje, że jest rodowitą rzymianką, tak jak

i jej matka pochodzącą z Zatybrza, ojciec zaś to kalabryjczyk. Ojca znała zresztą tylko z opowiadań, matkę (która wyjechała do Egiptu) — z nielicznych spotkań, wychowywała się u babci w Rzymie.

Mając 16 lat rozpoczęła naukę w Akademii im. Eleonory Duse, a jednocześnie zarabiała na chleb występami w różnych variete oraz statystowaniem w teatrach. „Żyłam w biedzie — wspomina ten okres — uczucie głodu nie opuszczało mnie prawie nigdy".

Jej poważniejszy debiut teatralny przypada na rok 1924, filmowy miał miejsce dziesięć lat później. Powodzenie nie przyszło od razu. Późniejszy mąż aktorki reżyser Goffredi Alessandrini po nakręceniu z nią w 1930 roku filmu „Cavalleria" wręcz oświadczył, że Anna nie nadaje się do filmu. Występowała zatem głównie w teatrzykach i na estradzie często u boku znakomitego komika Toto, zyskując sobie z czasem niemałą popularność. Ale film ciągnął ją, grywała różne małe rólki, aż nadszedł wreszcie rok, który przyniósł jej ekranowy sukces.

Była nim rola Piny, prostej kobiety z przedmieść „wiecznego miasta" w antyfaszystowskim filmie Rosseliniego „Rzym — miasto otwarte". Film ten był zwiastunem nowego kierunku w kinematografii włoskiej — neorealizmu — zaś Anna Magnani stała się odtąd jedną z czołowych aktorek tego nurtu artystycznego.

W odróżnieniu od elegancko ubranych, modnie uczesanych, wymalowanych, zwiewnych panienek, jakie zwykle spotykaliśmy w filmach włoskich (ale nie tylko włoskich), odtwarzała ona na ekranie postacie przeciętnych Włoszek, pracowitych, zapobiegliwych, borykających się z różnymi życiowymi kłopotami, zadziornych, pełnych temperamentu, ale i szlachetnego serca.

Oto Magnani w scenie jednego ze swych filmów. Gospodarzy w kuchni, jedną ręką mieszając w garnku dymiące spaghetti, drugą wycierając nos płaczącemu synkowi. Za chwilę gładzi po głowie i jednocześnie daje kuksańca drugiemu dziecku. Trzeba widzieć tę scenę, by móc ocenić kunszt aktorski Anny Magnani! Co za ruchy, co za mimika! A wszystko z przygadywaniem, w którym gderliwość miesza się z miłością.

Ci co oglądali ją w takich filmach jak „Człowiek bez jutra", „Najpiękniejsza", „Piekło w mieście", „Jesteśmy kobietami" wyróżniają zgodnie niebywałą siłę ekspresji i ogromny talent aktorki.

Magnani udowodniła, że nie jest artystką jednostronną, że potrafi dobrze zagrać różne role. Przykładem tego jest film „Złota karoca" czy zrealizowana w Hollywood „Tatuowana róża", za rolę w której otrzymała Oscara dla najlepszej aktorki zagranicznej.

„To największa aktorka naszych czasów, mogąca grać zarówno chłopkę jak królową" — oświadczył znany dramaturg Tennesee Williams, autor scenariusza do tego filmu.

Po powrocie z Hollywood Anna Magnani wystąpiła w kilku filmach włoskich, w tym w zrealizowanym przez Pier Paolo Pasoliniego obrazie „Mamma Roma", w którym znów jej talent zajaśniał pełnym blaskiem. Występowała również w teatrze, m. in. w „Wilczycy", z którą objechała kilka krajów europejskich.

Mieszka w Rzymie, w pałacyku Altieri wraz ze swym dwudziestodwuletnim kalekim synem, który po przebytej w dzieciństwie chorobie może poruszać się jedynie dzięki różnym ortopedycznym urządzeniom. Jest dla niego taką samą matką, jak ta, którą grała w „Najpiękniejszej" Viscontiego i innych swoich filmach.

Nie ogranicza się do pracy w teatrze i przed kamerami. W 1947 roku wstąpiła do Włoskiej Partii Komunistycznej, stając się obok takich lu-

dzi sztuki filmowej jak Lichino Visconti, Giuseppe de Santis czy Renato Salvatore aktywną jej działaczką. Występowała na wiecach w Rzymie, uczestniczyła w propagandowych kampaniach przed wyborczych. Wielka aktorka, odtwarzając rolę kobiet pochodzących z ludu włoskiego, walczy nie tylko na ekranie o prawa i ideały tego ludu.

(Sz)

Anna Marzec — bibliotekarka Zakładowej Biblioteki przy Zakładzie Energetycznym w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

ROBOT

Każda z nas od czasu do czasu przeżywa ponury obrzęd zwany generalnym sprzątaniem. Dzieje się to zazwyczaj w okresach świątecznych, choć są i takie, które przewracają dom do góry nogami w innych porach roku. Istnieją tu dwie szkoły: sprzątania hurtowego i detalicznego. Z żadną z nich nie zamierzam polemizować, każdy bowiem ma prawo robić w czterech ścianach to, na co ma ochotę. Warto natomiast zastanowić się, jak w tym czasie ułożyć życie osobnikowi zwanemu Mężem.

Mąż jak wiadomo — „słaba płeć". Dostaje zadyszki po przesunięciu szafy i kolki po trzepaniu materaców. Jest istotą źle przystosowaną i winien podlegać ochronie tak jak zające lub cietrzewie. Ponadto osobnik ten, mimo większego obwodu czaszki i ciężaru mózgu nie rozumie czym dla kobiety jest wybebeszenie własnego mieszkania, latami bowiem może egzystować w stosie papierzysk, śrubek i rupieci, zasługujących na śmietnikową banicję. Ogryzki i niedopałki za tapczanem stanowią dlań wartość doczesną równą posiadaniu willi na Florydzie. Zniknięcie ich powoduje gniew i rozgoryczenie. Mężczyzna w okresie porządków czuje się jak bezpański pies. Krąży z kąta w kąt z obłędem w oczach, drga mu nerwowo górna warga. Co bardziej wrażliwi dostają migreny i leżąc na zrolowanych chodnikach okładają skronie lodem.

Nie należy się tym przejmować. Używanie przedmiotów szybko tłukących się jest absolutnie niewskazane. Prowadzi do dewastacji mieszkania i przyczynia pracy.

Kobiety rozsądne opanowują sytuację według opracowanych przez siebie systemów filozoficznych. Wetknąwszy w rękę warząchew polecają cierpiącemu szumować rosół, siekać szczypiorek i odcedzać makaron.

Są to potrawy gotowane w czasie sprzątaniowych kataklizmów i nawet najbardziej zmęczony mężczyzna nie potrafi ich popsuć. Wręcz przeciwnie, wdzięczny za odwrócenie uwagi od dolegliwości kroi w gwiazdki marchewkę, nakrywa do stołu i podaje obiad z wdziękiem wysoko kwalifikowanego kelnera. My wynosimy tymczasem na podwórze wersalkę, pierzynę po babci i kubełek pełen odpadków.

Po obiedzie mąż wychodzi na spacer. Obdarzamy go dzieckiem, psem, klatką z kanarkiem i poleceniem zakupienia artykułu dostępnego na drugim końcu miasta. Optymistki obdarzone poczuciem humoru polecają nawet ZOO, kawiarnię i inne miejsca rozrywki kulturalnej.

Godne polecenia jest wyekspediowanie mężczyzny na delegację służbową lub trzydniowy urlop. Uszczęśliwione, że nikt nam nie kręci się pod nogami z furią i w tempie rakiety kosmicznej zaprowadzamy świąteczny ład w naszym domostwie. Jesteśmy przecież niesłychanie dzielne i pracowite. Prawą ręką zmywamy okna, lewą niańczymy niemowlę, nogami pastujemy podłogę. Gdyby się jeszcze dało wmontować urządzenia mechaniczne w pozostałe części ciała, byłybyśmy niezastąpione.

Tak więc naukowo i analitycznie podchodząc do problemów gospodarczych stać nas po sprzątaniu na rozprostowanie zbolałych kości, maseczkę kosmetyczną i kokieteryjny fartuszek. Witamy męża uśmiechem — wróciłeś moje ty kochanie ..... ?!

Ma się ten gest!

BEGA

ZDARZENIA TYGODNIA

W rzeszowskim Domu Szuki, w ubiegły czwartek otwarta została, urządzona przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych z Warszawy oraz miejscowe Biuro Wystaw Artystycznych jubileuszowa wystawa z okazji 70-lecia życia i 50-lecia twórczości artystycznej Mariana Strońskiego. Eksponowane są tam prace olejne i monotypie. Tyle tym razem o samej wystawie. Korzystając z okazji chcemy kilka słów powiedzieć o samym twórcy.

Otóż Marian Stroński ukończył studia artystyczne na ASP w Krakowie i Wiedniu. W okresie międzywojennym zorganizował w Przemyślu Wolne Studium Rysunku i Malarstwa, a następnie studiował w Paryżu, gdzie wystawiał swoje prace. Po powrocie do kraju urządzał ekspozycje swoich prac w Warszawie, Łodzi i Lwowie. Po drugiej wojnie światowej rozpoczął ponownie w Przemyślu działalność pedagogiczną. Był on przez wiele lat autorem znanych polichromii ściennych i obrazów sztalugowych, z przewagą krajobrazów i widoków.

* * *

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Oddział Wojewódzki Związku Teatrów Amatorskich zorganizował w kilku wsiach spotkania z aktorami. Aktor Teatru im. W. Siemaszkowej Adam Fornal spotkał się z mieszkańcami Handzlówki w pow. łańcuckim, w Trzcianie, pow. Rzeszów gościli Adam Fornal i Tadeusz Czarnowski, w Klubie „Odmieniec" ze studentami rzeszowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej spotkał się natomiast Zdzisław Kozień.

Z tej samej okazji ZTA wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMS zorganizował 3 spotkania z młodzieżą robotniczą.

Reżyser Elwira Turska gościła wśród mieleckiej młodzieży. T. Czarnowski spotkał się z młodymi robotnikami Krosna, a Jan Adamski odwiedził Jarosław.

* * *

Pisaliśmy już o programie prezentacji przodujących zespołów w ramach Wojewódzkiej Sceny Amatorskiej Twórczości Artystycznej. W ostatnią niedzielę na scenie WDK w Rzeszowie teatr amatorski Zakładowego Domu Kultury Huty „Stalowa Wola" wystawił przygotowaną z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej sztukę Dymitra Furmanowa „Czapajew". Przypominamy, że jest to adaptacja sceniczna Miloslava Stehlika, w przekładzie z czeskiego Jerzego Pleśniarowicza. Reżyseria Józefa Żmudy, scenografia Tadeusza Grabary.

* * *

Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Rolnych również w tym roku planuje zorganizowanie przeglądu dorobku zespołów muzycznych, który podobnie, jak w latach poprzednich będzie przebiegał na szczeblu rejonowym i wojewódzkim. Jego celem jest podniesienie poziomu zespołów, podległych temu związkowi branżowemu.

W ubiegłym tygodniu odbyła się narada kierowników zespołów, na której omówiono sprawy związane z organizacją tej pożytecznej inicjatywy.

* * *

Podczas częściowego remontu budynku Muzeum Okręgowego w Rzeszowie pracownicy Działu Etnograficznego tej placówki przygotowali wystawę nabytków etnograficznych, uzyskanych drogą zakupów i darowizn w 1967 r. Jest to sprzęt rybacki, rzeźba ludowa i inne przedmioty kultury materialnej. Wystawę będzie można oglądać w najbliższym czasie.

* * *

Niezbyt często informujemy o podejmowanych przez zakładowe placówki kulturalno-oświatowe pożytecznych inicjatywach z różnych dziedzin działalności. Jedną z nich jest na pewno rozpoczęty w Zakładowym Domu Kultury WSK w Mielcu przegląd filmów krótkometrażowych łódzkiego twórcy Wojciecha Fiwka. W ramach imprezy mielecka placówka zaprezentuje 14 krótkometrażówek fabularnych — pozycje zawierające interesujący wątek przygodowy i odznaczające się wybitnymi walorami wychowawczymi. W ramach przeglądu zaplanowano również spotkanie z ich twórcą, przewidziane na 3 maja br.